Nr. 1. Warszawa, dnia 23 Grudnia 1895 r. (4 Stycznia 1896 r.) Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



O KANADĘ.

Gdy w obecnym zatargu o granice Venezueli ukazało się orędzie Clevelanda, wysuwające naprzód zasadę „Ameryka dla Amerykanów,“ umysły bystrzej patrzące doszły do wniosku, że chyba sam tylko spór między południową rzeczpospolitą a Anglią o pola choćby najobficiej złotodajne nie mógł być powodem wystarczającym do odważenia się nawet na wojnę w obronie honoru narodowego, który właściwie nawet żadnej ujmy nie był doznał. Ani miłością prawa i przywiązaniem do wolności rzeczpospolitych amerykańskich, ani tym rozszerzonym egoizmem, który się w doktrynie Monroego przejawia, nie można było wytłomaczyć sobie orędzia z d. 17 grudnia. Nazwano je też i na tem miejscu aktem niedostatecznej rozwagi.

Z niedowierzania zrodził się domysł, że prezydent Stanów Zjednoczonych musiał mieć do wystąpienia swego jakiś bodziec silniej egoistyczny od tego, który z orędzia jego wyglądał. Oddawna już pożądliwe oko Amerykanów sięga za rzekę św. Wawrzyńca. Kanada byłaby geograficznem, politycznem i społecznem zaokrągleniem wielkiej rzeczypospolitej. Każdy zatarg „Old-dominion“ z krajem macierzystym rozbudzał apetyt w New-Yorku i Washingtonie. Obecnie znowu kłopoty Anglii, upadek jej powagi politycznej, tej twórczej siły moralnej, która sama przez się, bez oręża i bez zbrojnego działania, odstrasza lub zachęca — ośmielił umysły amerykańskie do rojeń o Kanadzie. Jakby to dobrze było z owych kłopotów i owego zaćmienia potęgi angielskiej skorzystać! Zabrałoby się ogromne przestwory przemocą, ale związałoby się je potem ze sobą już tylko miłością, wyższością idei państwowej — dobrowolnem zgodzeniem się wyzwolonych...

Ale i przy takiem podstawieniu Kanady na miejsce Ameryki, — ogółu obywateli wielkiej rzeczpospolitej amerykańskiej na miejsce ogółu ludów, zamieszkujących Amerykę — a ściśle określonej żądzy politycznej, na miejsce teoretycznej maksymy: orędzie nie wyda się aktem dostatecznej rozwagi. Pomijamy już to, czy istotnie Anglia jest już tak słabą, iż można pomyśleć o oderwaniu od niej Kanady. Przedewszystkiem, braterstwo przyszłe nie ma tego rozsądnego i prawowitego punktu wyjścia, jakim być może jedynie dążenie w samej Kanadzie do połączenia się z wielką rzecząpospolitą. Rozlegały się wprawdzie kilka lat temu w Ottawie nawet, w gmachu parlamentu, pogróżki przeciwko Anglii, wyróżnić nawet wśród nich dawały się głosy, że Unia może być dla Kanady ucieczką; w tym ogniu jednak było więcej dymu, niż płomienia. Najsłabsze, choćby tylko z kilkunastu ludzi wybitniejszych, stronnictwo zawiązać się nie mogło, i dziś najlekkomyślniejszy nawet polityk nie odważy się niczego budować na woli oderwania się Kanady od Anglii. Dziecinne nawet oko dopatrzeć się jej nie zdoła.

W liczbie pięciu milionów Kanadyjczyków półtora podobno ma być jeszcze z krwi francuskiej, która na Równinie Abrahama przed stu czterdziestu laty polała się obficie a nieszczęśliwie w obronie wydzieranej przez Anglików wolności. Wszyscy, i Anglicy i Francuzi z pochodzenia — są dość szczęśliwi z Anglią, aby nie szukać szczęścia ze Stanami Zjednoczonymi. Teraz wiedzą, co mają: wolność zupełną w formach republikańskich, parlamentarnych, samorząd najdoskonalszy, gubernatorstwem tylko angielskiem lekko skażony; nie płacą nic na wojsko i wojnę; obywają się wprawdzie bez polityki zagranicznej, bez armii i floty wojennej, ale płacą za to mniej podatków, mniej im grozi niebezpieczeństw, mniej roztwiera się przed nimi widoków braterstwa, w któremby musiała zatonąć ich indywidualność. Wyzwoleni z pod Anglii wpadliby prędzej lub później w otchłań obcych sobie interesów i musieliby żałować dzisiejszego jarzma. Kolonizacya zalałaby Kanadę społecznie; stronnictwa pożarłyby ją politycznie. Gdy się nie jest narodem, lecz tylko społeczeństwem, tak wolnem i szczęśliwem, jak Kanadyjczycy — nie myśli się ani o samoistności międzynarodowej, ani o braterstwie z innymi: pierwszej się nie odczuwa, drugie znajduje się we własnej wewnętrznej wolności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Książę Hohenlohe niespodziewanie w tygodniu świątecznym zjechał z zamku podiebradzkiego w Czechach, gdzie bawił u rodziny, do Wiednia, gdzie go czekało już poselstwo i sam hr. Gołuchowski. Oczywiście, jest to podróż polityczna. Doniesiono już o 2-godzinnej naradzie obu ministrów kierujących; odbyto tych narad prawdopodobnie więcej. Przedmiotem, rzecz prosta, były sprawy Turcyi. Niemcy chcą zbliżyć Austryę do Rosyi. Cała ich polityka od wstąpienia Caprivi'ego opiera się na hypotezie życzliwości Rosyi wzamian za przysługi jej świadczone. Potrzeba utrzymania przymierza z Austryą wikła zagadnienie, obecnie dla Berlina główne. Cesarz Wilhelm z kanclerzem Hohenlohem spodziewają się zobojętnić ciążenie Francyi do Rosyi—uczynić je bezskutecznem i zyskać znowu na czasie—i tak dalej, aż do chwili, kiedy odwet o Alzacyę utraci podstawę w samym rozsądku politycznym.

Jak cesarz Wilhelm polityką swoją buduje nietylko dom bezpieczny dla Niemiec z tytułu posiadania Alzatolotaryngii, ale i zamek warowny dla pokoju europejskiego—tak i margrabia Salisbury dla miłości

onego pokoju, a specyalnej korzyści Anglii proponuje Rosyi zajęcie Armenii, na takich samych prawach, na jakich traktat Berliński przyznał Bośnię i Hercegowinę Austryi. Dotychczas o przyjęciu lub odrzuceniu tej propozycyi nie nie doniesiono.

Dnia 28-go grudnia rozpoczęły działalność swoją sejmy krajowe w Przedlitawii. Najważniejsze było zebranie się i zagajenie przez namiestników i marszałków dwóch sejmów: w Pradze i we Lwowie; oba one powstały z nowych wyborów, które skład ich zmieniły. W Czecach szczególniej zmiana jest wielką: Młodoczesi mają prawie monopol przedstawicielstwa w miastach i w mniejszej własności wiejskiej; we Lwowie wzmogło się liczebnie grono wieśniaków wybranych na posłów, przybyło i przedstawicieli miejscowych interesów w Galicyi Wschodniej; z miast weszło do sejmu więcej ludzi, jeśli nie poważnie postępowych, to goręcszych.

Z Czechami hr. Badeni pragnie jaknajprędszej zgody—chociażby nie ostatecznej, ale na lat kilka przynajmniej starczyć mogącej. Teraz już w biegu znajduje się myśl podzielenia narodu czesko-niemieckiego w Czechach na trzy kurye: niemiecką, czeską i wielkiej własności. Niemcy dopominają się wznowienia układów. tak nieszczęśliwie poprowadzonych przez Riegiera w r. 1890. i zupełnej jakby konstytucyi dla narodowości niemieckiej. Dopiero po pogodzeniu się Niemców z Czechami na gruncie czeskim, Młodoczesi. działający dziś w imieniu wszystkich Czechów. pogodziliby się z rządem przedlitawskim. Koronacyi możeby już nie stawiali jako warunku *sine qua non*. Poręczenie t. zw. Staatsrechtu Rudolfa II mogłoby im wystarczyć. Rząd już teraz poręczył im nierozerwalność krain korony czeskiej: Czech i Moraw ze Szląskiem.

We Lwowie przemówienia marszałka i namiestnika hr. Stanisława Badeniego i ks. Eustachego Sanguszki, miały trzy wybitniejsze punkty: zadowolenie życzeń ludności Galicyi wschodniej, zakładanie szkół ludowych i reformę ustawy gminnej. Poseł Dunajewski zażądał już połączenia gmin dworskich z wiejskiemi.

W Stambule sułtan wygnał swego zausznika Izzeta,—dobrał sobie pewno innego; kazał też uwięzić wielu znakomitszych turków w stolicy. Ma znowu zmienić wezyra.

Z pod Zajtunu donoszą o działaniach, blizkich już zdobycia zupełnego tej pozycyi.

Na Kubie królewscy pobili oddział wyspiarzy — i zabrali im obóz.



BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Franciszek Konarski, *Metodyczna Gramatyka języka Polskiego*, Warszawa.

Metoda w dydaktyce, to nieodłączny jej atrybut. Znajomość wszakże wykładanego przedmiotu czyni metodę rozleglejszą, więcej odpowiednią prawidłom dydaktyki.

Praca p. Konarskiego, z uwzględnieniem pewnych zmian postępowych w lingwistyce, jest ściśle dydaktyczną. Postaramy się, wykazać o ile gramatyka niniejsza warunkom tym odpowiada.

Naukę rozpoczyna od zdania. Ma to niby w dydaktyce swoją stronę dodatnią; uwzględniwszy atoli, że składnia opiera się na kategoryach logicznych, zgoła umysłowi dziecka niedostępnych, radzibyśmy dać pierwszeństwo metodzie więcej realnej tj. rozbiorowi gramatycznemu; wybierając pierwej rzeczowniki, następnie zaimki, przymiotniki itp

Zdanie autor nazywa „myślą wypowiedzianą słowami.“ Jest to określenie napozór proste, w istocie rzeczy zawiłe, gdyż dziecko nie może mieć jasnego pojęcia o myśli, wymagającej pewnego rozwoju umysłowego. Możeby tu należało pierwej w sposób poglądowy objaśnić, co to jest myśl, a następnie przejść do określenia zdania. P. K. chce jednak przyjść z pomocą dziecku, bo mówi: „Widzę ptaka, który leci w powietrzu, i myślę sobie: *ptak leci*.“ Jest to określenie przedmiotu, który się widzi i o którym się myśli, ale nie tego, co nazywamy myślą.

Niżej nieco p. K. pisze: „o podmiocie mówimy; *czem, jaki jest, co czyni*, lub *co się z nim dzieje*.“ To właśnie, co według autora „o podmiocie mówimy,“ odnosi się do orzeczenia, o którem p. K. pisze, że „wyraz oznaczający, co przedmiot czyni, czem jest, jakim jest, co się z nim dzieje, nazywa się orzeczeniem.“ P. K., mówiąc o podmiocie i orzeczeniu nie wyróżnił jednego od drugiego i właściwości ich pomieszał, pozostawiając dziecko w niepewności

Autor powiada, że „wyrazy składają się z głosów, czyli głosek.“ Co to za głosy? Niema objaśnienia. Przypuścić chyba należy, że wyrazy składają się z głosów wysokich lub niskich, mniej lub więcej natężonych albo dźwięcznych, pozwalających nam odróżnić ich cechy. Głos bowiem a dźwięk, są to zjawiska różne, lubo w drugim uczestnictwo pierwszego zaprzeczyć się nie daje, acz ono dzieje się w połączeniu ze szmerem czyli szelestem i oddźwiękiem czyli rezonansem. Należałoby przygotować się nieco w akustyce, aby mieć jasne pojęcie, o czem się pisze.

„Samogłoski — pisze p. K. — są to takie zgłoski, do których wymawiania wystarcza samo wydobycie głosu z piersi, lub mniejsze otworzenie ust.“ Wkraczamy tu już w dziedzinę anatomii, fizyologii, a nawet fizyki. Nie będą to samogłoski, bo one wymagają artykulacyi, tj. wyraźnego wymawiania każdego z osobna dźwięku, przedstawiającego właściwe sobie cechy, wyróżniające się od innych podobnego rodzaju zjawisk. Artykulacya właśnie opiera się na narzędziach mownych, które autor wyłącza z genezy samogłosek. Żałować należy, że p. K. obce są najnowsze prace fonetyków. Niedostateczne i niejasne pojęcie o samogłoskach ścieśnionych, czyli pochylonych, spowodowało autora do definicyi: „Wyjątkowo się mówi przecież. *roża*, pod*worze* itp.“ To mało, ale dlaczego mówi się wyjątkowo?

W nauce o odmianie wyrazów (cz. II) p. K. imiona osób, zwierząt lub rzeczy nazywa rzeczownikami.

A czy rośliny minerały i inne ciała fizyczne tudzież zjawiska, nie należą do rzeczowników?

Nie będziemy czynili zarzutu co do podziału na pięć deklinacyj, lubo ze względów dydaktycznych wymagać by należało mniej zawiłej klasyfikacyi, która nawet w naukach specyalnych stosować się musi do wymagań mnemoniki.

Bez objaśnienia przyczyny, dlaczego w przyp. I l. m jest *bracia, księża, ludzie, lata*, gramatyka chybia swojego celu. Podobną uwagę odnieść można do *oczu, ręce* itp. W czasowaniu nie objaśniono genezy słówka *by*, co uważamy za niezbędne w poznawaniu odmian czasownikowych. Zaliczanie wykrzyknika do części mowy, należy do przestarzałej metody pseudo-gramatykarzy.

W sprawie pisowni nie będziemy polemizować z autorem, uważamy to za rzecz gustu.

Objaśnienie o użyciu średnika i znaku zapytania, nader niedostateczne. Wbrew prawidłu, które sam p. K. podaje: że „między zdaniem głównem, a pobocznem, również między współrzędnemi zd., jeżeli one przez spojniki *i, albo, lub; ani* nie są połączone;“ unika się przecinka, autor jak by zapominając o tem, nietylko przed tymi spójnikami, ale nawet przed *i* kładzie przecinek.

Jest to jeden z lepszych podręczników, nie widać tylko w autorze, mimo zdolności pedagogicznych, odpowiedniego przygotowania lingwistycznego. W każdym razie ma dobre chęci i dążność ich spełnienia

J. F. Gajsler.

Urywek z dziennika.

Na pożegnanie Tonia. podając mi rękę, rzekła:

— Dobrej nocy. Życzę, niech się panu przyśni to. cobyś najgoręcej pragnął mieć na jawie.

I jednocześnie w oczach jej zamigotał ów figlarny, urągliwy uśmiech.

— Niech się przyśni — bo na jawie... bo na jawie...

Nic mię tak nie drażni. jak to rozśmieszone spojrzenie. Formalnie pozwala sobie żartować ze mnie.

Ściągnąłem brwi, a patrząc na nią surowo i zupełnie chłodno, rzekłem niedbale:

— Niestety. na jawie nigdy się nie ziści to, cobym mieć pragnął najgoręcej.

Nagły rumieniec, jak zorza, przemknął po puszystych policzkach. Wyraźnie nadrabiając rezolutnością, odcięła:

— Jakieś nadpowietrzne pragnienie? Może życzyłbyś sobie pan, aby jaka czarodziejska wróżka stawiła się po rozkazy?

— Nie ufam czarodziejkom; wolę poczciwe ziemskie istoty. z któremi raz wiadomo, jak i czego się trzymać.

Zacięła usteczka i zbierając ze stołu robótkę, rzekła, nawpół twarz odwróciwszy:

— Cóż to jest, jeśli wolno wiedzieć?

— Jeden z darów wróżki w każdym razie.

Fijołkowe oczy otworzyły się szeroko szczerem, dziecinnem zaciekawieniem.

— Pragnąłbym posiadać — ciągnąłem zwolna, trzymając w naprężeniu tę ogromną ciekawość — pragnąłbym posiadać dar: zawsze i wszędzie czytania w myślach ludzkich.

Roześmiała się pustym, szczerym, głośnym śmiechem.

— Zabawne żądanie — zawołała. I na cóż to panu?

A po chwili, wzruszając lekko ramionami, dodała:

— Cóż? Jako szczera przyjaciółka pana, życzę z duszy, aby i to pragnienie się spełniło.

Raz jeszcze podała mi rękę i zabrawszy robótkę. skierowała się do wyjścia. Ode drzwi jednak odwróciła głowę i przesłała mi spojrzenie szybkie, jasne, roześmiane— roześmiane tym swoim figlarnym, natrząsającym się uśmieszkiem. Zdało mi się nawet, że kąciki ust jej zadrgały, powstrzymywane jedynie wysiłkiem woli.

— We śnie. we śnie, mój panie, bo na jawie nic z tego!

I znikła za drzwiami.

Rzuciłem się za nią. Rad byłbym ją dogonić, zatrzymać — rad byłbym porwać ją na ręce i unieść gdzieś na kraj świata i te urągliwe usta, te rozśmieszone oczy pokryć takimi szalonymi pocałunkami, iżby raz na zawsze pamiętała, że nie wolno bezkarnie natrząsać się z ludzi.

Oczywiście nic z tego uczynić nie mogłem; gryzłem więc tylko wąsy. łowiąc uchem oddalające się za drzwiami lekkie kroki...

O, moja szczera przyjaciółko, jeśli szczerość twej przyjaźni zawiera się jedynie w ustawicznem kłuciu mię ciernami... Lecz bądźmy cierpliwi — i moja kolej nadejdzie — o, nadejdzie! — a wtedy.... nie proś lepiej Boga...

Wróciłem do domu zły i rozdrażniony. a chwilami wprost niedorzecznie, szalenie szczęśliwy. To dziewczę jest taką mieszaniną podniosłej kobiety i rozpieszczonego

LITERATURA I SZTUKA.

Z ANGLII I O ANGLII.

Wpływ Carlyle'a.—Jerzy August Sala.—Organizacya czytelników i czytelnictwa.—Krytyka literacka i ujemne jej strony.—Gazeta a książka.—Nowiny.

Setna rocznica Tomasza Carlyle'a była przedziwnym świadkiem olbrzymiego wpływu, jaki wywarł i wywiera dotychczas na Anglię autor „Życia i listów Kromwela." Nie mówiąc już o wystawie pamiątek po nieżyjącym pisarzu, o zakupieniu domu, w którym zmarł autor „Teraźniejszości i przeszłości"—pomijając. powtarzamy, wszystkie te zewnętrzne objawy czci. trudno wszakże przemilczeć fakt, że zebraniu pamiątkowemu przewodniczył John Morley, najwybitniejszy przedstawiciel starego liberalizmu. „I ty Brutusie—zdawały się mówić duchy *manczesteryzmu*—i ty święcisz pamięć naszego zabójcy." Istotnie i Morley oddawał pokłony temu przedziwnemu geniuszowi, który w zbroi torysa walczył o niezniszczone ideały społeczne do dnia dzisiejszego. Jasnem jest, że Morley poczynił zastrzeżenia, tak samo jak je już dawniej zrobił Frederic Harrison, przedstawiciel pozytywistów angielskich. Zarówno jeden jak i drugi są nietylko dziejopisarzami i filozofami; widzimy ich i w tych szeregach, które z młotem i kielnią budownictwa prawodawczego pracują przy gmachu społecznym. Liberalizm jednego i pozytywizm drugiego mają zupełnie określone zadania do spełnienia, a wszelka praca bieżąca nie znosi zbyt wyostrzonego miecza krytyki. To też i Morley i Harrison odbijają cięcia oraz uspokajają się tem, że dzieła i myśli Carlyle'a nie mają dosyć harmonii, tego spokoju olimpijskiego, który by przetrwał wszystkie burze i zmienne wiry życia społecznego. Obaj ci pisarze przeciwstawiają Carlyle'owi bardziej ukształtowane zasady, które ulane w hasła, mają przeżyć krytykę i namiętne porywy autora „Czartyzmu." Takie usiłowania krytyczne dowodzą tylko, że do dziś dnia wpływ Carlyle'a jest wielkim. Istotnie, trudno obecnie znaleźć pisarza, który by więcej niż on odpowiadał nastrojowi młodej Anglii. Wpływ jego wzrasta niemal z każdym dniem; przestano naśladować jego styl. ale coraz więcej młodzież szuka w nim *natchnienia*. Mówimy o natchnieniu a nie o drogowskazie, bo Carlyle był raczej prorokiem, niż badaczem. Dwie wielkie namiętności trawiły go przez całe życie: z jednej strony czcił on bohaterów ludzkości. jej Prometeuszów, którzy wysuwają się naprzód — z drugiej miał wielką litość dla mas nieświadomych i cierpiących. Carlyle, który odrzucał naukę Darwina o ewolucyi, był, o ironio, żywem świadectwem byronizmu, przekształconego w rozwoju dziejowym. Rozpoczął myśleć i działać w czasie, gdy kramarze i kupcy prowadzili za sobą ludzkość, zaprzężoną do „wytwarzania bogactw dla samego wytwarzania." Szlachetny i oddany przedewszystkiem prawdzie, nie mógł znieść widoku kramarzy, ukoronowanych jako wodzów ludzkości. Więc przedewszystkiem wyciągnął z zapomnienia prawdziwego twórcę Anglii współczesnej, Kromwela. Postanowił także wykazać obłudę i ucisk tego kultu „wytwarzania." Było to przed 1848 rokiem, a zatem zanim rozwinął się zupełnie kwiat plutokracyi. Wtedy to Carlyle napisał swą rzecz o Czartyzmie i sławny pamflet p. t. *Past and present*. Były to wielkie proroctwa, które dopiero dzisiejsza społeczność pojmuje dokładnie.

Mamy w naszej literaturze jedno arcydzieło, którego autor wykazał także siłę proroczą. Był nim Krasiński w swej *Nieboskiej* i w swym *Niedokończonym*. Różnica rasy między Krasińskim a Carlylem tłomaczy nam różnicę wpływu ich utworów. W ojczyźnie pierwszego nie było czynników *twórczych*, organizujących, więc i zachowawczość poety jest bezpłodna, a rozwiązanie zagadki daje mu tylko „znak niebieski." Przeciwko ohydzie kramarstwa ma on w zapasie cierpienie. Carlyle był synem ziemi, porosłej geniuszem twórczym, tej Brytanii, która umie rządzić sobą i innymi, więc też prorok angielski wystawił zaraz ideał siły twórczej. Jego toryzm nie przeszkodził mu ujrzeć prawdziwego i twórczego Pankracego w Kromwelu; jego zachowawczość nie pchała go bynajmniej do wałów Świętej Trójcy. Przeciwnie, według niego należało stanąć na czele dzikich rzesz i pierwszemu podnieść rękę przeciw złotemu cielcowi.

Carlyle, namiętny i bezinteresowny, często był stronnym dla wypadków, za którymi widział ludzi: szalbierzy i skoczków. To też często mylił się w sądzie, nie umiejąc za tragikomedyą widzieć dramatu dziejowego. Wady Carlyle'a, były wynikiem jego cnót, a przedewszystkiem cnoty szermierza. I oto dlaczego ma on dziś wpływ, który wzrasta, wzrastać będzie i musi, póki trzeba walczyć przeciw rozpanoszonemu złotemu cielcowi.

Carlyle'a czcili jeszcze za życia ludzie wszystkich stronnictw. Nazwano go też *sage*, spokojnym mędrcem z Chelsea, dzielnicy Londynu, którą zamieszkiwał. Zdarza się to nieraz, że nie zdajemy sobie sprawy z naszych uczuć. Torysi zawdzięczali Carlyle'owi wszystko, bo swe odrodzenie, a liberali, szukający drogi wyjścia z labiryntu „wytwarzania dla wytwarzania," znaleźli u niego natchnienie. Gdy rozpoczynał swą działalność literacką, panował w Oksfordzie ruch nowy, t. zw. oksfordzki, który ostatecznie był odrodzeniem angielskiej zachowawczości. Obecnie w tym samym Oksfordzie powstaje także nowy ruch, którego treść tkwi już w nazwie: „nowy liberalizm." Jeden i drugi wiele zawdzięcza Carlyle'owi; współczesny. nam ruch daleko więcej nawet czerpie z dzieł autora Sartora Resariusa, niż to czynili rowieśnicy jego.

Prócz stałych gwiazd, ludzkość ma także swe meteory. Jeden z nich zgasł dziś na wieki. Nazywał się Jerzy August Sala. Czytelnicy polscy mało słyszeli o nim, chyba o wielkich sumach, jakie pobierał jako *special* korespondent różnych wielkich i pustych czasopism angielskich. Ale Sala był wcale wspaniałym typem, i niestety typem, dziennikarza „starej daty." tj. wykształconego i nie mającego wielkich uroszczeń. Rodzice cudzoziemcy: ojciec włoch, matka z Brazylii. Rodzina liczna wymagała usilnej pracy i Sala senior zmarł z wycieńczenia, pozostawiając na bruku wdowę, obarczoną legionem dzieci. Młody Jerzy miał przytem zły słuch, osłabiony wzrok—rezultaty silnej odry. Na szczęście pani Sala była uosobieniem energii i zajęła się uzbrojeniem swej dziatwy do należytej walki o byt. Młodzieniec spędził kilka lat w szkołach paryskich, gdzie kolegował z Al. Dumasem, a następnie uzupełnił swe wykształcenie podstawowe w Londynie. Mając zaledwie 16 lat, wziął się do pracy. Był rachmistrzem, rysownikiem, malarzem dekoracyj scenicznych, jednem słowem. nie gardził żadnem zajęciem, które by mu mogło dać niezależny byt i pewną swobodę w dalszem kształceniu się. Wkrótce miał on sposobność wy-

---

dziecka, że dalibóg nie wiem czasem, co mam o niej trzymać.

Czy noc majowa była za duszna, czy słowiki pod oknem za głośno śpiewały, dość że długi czas zasnąć nie mogłem. Jeden po drugim paliłem papierosy, próbowałem nawet, zdaje się, coś czytać, otworzyłem okno — nie, zawsze ten brak tchu w piersiach, te sto pudów w rozpalonej głowie i myśli — bezładne, splątane, absurdów pełne. A po za tem wszystkiem oczy — te roześmiane, urągliwe, pachnące fijołkami oczy — te drogie...

Dniało już na dobre, gdy zmęczony zasnąłem wreszcie ciężkim, kamiennym snem.

Musiałem spać za długo. Budzę się. Przez spuszczone rolety ścielą się na podłogę pasma południowego słońca. Silę się zebrać myśli i wspomnienia, zdaje mi się, że powstaję z jakiejś czarnej, bezwiednej nicości. I nagle, jak piorunem, uderza mię myśl, że punkt o dwunastej muszę być na posiedzeniu zjazdu kolejowego naszej drogi.

Rzucam się do zegarka — ba, dwunasta już blizko. Dzwonię w niebogłosy na Franciszka.

— Czemużeś nie raczył mię zbudzić? — wpadam nań z góry. Wszak wiedziałeś, że dziś o dwunastej koniecznie wyjść muszę?

— Przychodziłem parę razy — odzywa się nieśmiało. Wszystko już gotowe, proszę pana.

Świeża w umywalni woda, sen pokrzepiający i jakby odradzający na nowo, przez otwarte okna wesołe majowe słońce — robią swoje. Czuję się rzeźkim, wesołym, lekkim jak rzadko. Zbiera mię wielka chętka pożartować z mego sługusa.

— Gdzieżeś siedział cały ranek? Pewnie w pralni?

Naprzeciw w oficynie znajduje się pralnia i hoże dziewczęta wyglądają z niej co chwilę. Franciszek odwraca twarz i śmieje się ukradkiem. Z marsem jednak odpowiada:

— Niech ich nie znać! Czy to człowiek ma czas na te, z przeproszeniem, głupstwa? Zanim wszystko posprząta, pooczyszcza, chwilki swobodnej nie zostanie. Niech Trajkowska powie, czy chociaż nogą ruszyłem...

Skarżył się tak żałośnie, że aż spojrzełem na niego. I w tej chwili — cóż to? czy halucynacya? Wszakże nie jestem głuchy. Słyszę, wyraźnie słyszę, jak ten skarżący się głos, głos Franciszka, ciągnie dalej, pomimo że usta jego są zamknięte i że on odwraca się nawet, oczyszczając z kurzu mój kapelusz.

„Ładniebym wyszedł, gdybym siedział tu jak na uwięzi. Że komuś miło jest do południa się wysypiać, dlatego człowiek musi siedzieć jak przykuty i patrzeć nań i czekać tylko, póki tamten oczy raczy otworzyć. Psem na to być trzeba, a nie człowiekiem."

Zdumiony, nie wierząc własnym uszom, wołam, aby mi krawat zapiął, bo coś w sprzączce utknęło.

— Słucham jaśnie pana — odzywa się ze zwykłą służalczością, przybiega i zabiera się do mego krawata. — Ot zara, zara!.. A, psia... Już, już... — mruczy, zakłopotany, że nie dość prędko mu idzie, ale w tej chwili słyszę znów głos jego przyciszony a dobitny, niby z wnętrza pochodzący:

„Oto proszę! Zdrów drągal, choć mury walić, a niańczyć się to każe, jak dzieciak. Niby jaki głuptas, czy niedołęga..."

— Porzuć! — wołam, wybuchając i szarpię mu z rąk krawat. — Idź precz!

Skonfundowany, jak pies skarcony, cofa się do progu i patrzy na mnie wylękły.

Wstyd mnie za mój wybuch, odzywam się więc łagodniej, chcąc jednak pozbyć się go z oczu w jednej chwili.

dać dziełko o ulicach Londynu, które nazwał „kluczem ulic“ — praca jak na owe czasy bardzo staranna i pełna bardzo dobrych spostrzeżeń o życiu stolicy. Dickens przyjął go do grona swych współpracowników. Wraz z Salą rosła prasa codzienna i jej znaczenie. Dawne gawędy ustąpić musiały miejsca ścisłym sprawozdaniom z wypadków życia międzynarodowego. Czytelnicy pism chcieli przedewszystkiem dokładnych informacyj i tak dalece szczegółowych, aby można było myślą przenieść się na miejsce wypadków. Sala był pierwszym *special* sprawozdawcą, który jako prawdziwy wszędobylski stał się pośrednikiem między dziejami a publicznością angielską. Był w wojnie amerykańskiej, towarzyszył Garibaldiemu, zdawał sprawę z walk barykadowych. Mając wykształcenie podstawowe, umiał nadawać swym sprawozdaniom charakter ogólno ludzkiej kroniki dziejowej. Styl posiadał on wprawdzie napuszony i barwny, „lwi“—jak mówił Matthew Arnold—ale był to styl ówczesnej epoki. Z przekonaniami liberalnemi, wierzący gorąco w rozwój demokracyi, unikał wszelkiej tendencyi; był rzetelnym ambasadorem prasy przy scenie życiowej. Dla publiczności był on nadto chodzącą encyklopedyą, ułatwiającą jej myślenie i oryentowanie się w wypadkach. Jednem słowem, wielki dziennikarz, niestety, jeden z ostatnich sumiennych i pracowitych. Jego dzieła, których większości można nadać tytuł: „rzeczy i ludzie widziani przez dzielnego spostrzegacza,“ będą z czasem nieocenioną kopalnią dla dziejopisarzy; w nich przyszłe pokolenie znajdzie rysy naszej epoki, zasłonięte zbyt gęstą tkaniną krzyżujących się wypadków. Za życia Sala miał powodzenie jako dziennikarz, ale nie autor. Zginął on od miecza, jakim sam wojował: kroniki codziennej, po której przeciętny czytelnik nie ma czasu na to, aby jeszcze wspominać drobiazgi z życia w przeszłości. (D. n.)

W. Nadolski.

ZWROTKI PRZEDNOWOROCZNE

Józef Jankowski: *Lalka*, żart satyryczny (Warszawa, nakład T. H. Naslerowskiego, 1895, str. 79). — Wincenty Rapacki (syn): *Bez tytułu*, poezye (Warszawa, nakład Treptego, 1895, str. 147). — Władysław Stankiewicz: *Poezye*, tomów dwa)Warszawa, druk Emila Skiwskiego, 1895, str. 238 i 183).

Jest zwyczaj u ludów zachodnich, że ostatnie chwile starego roku znajomi spędzają w gromadkach, o ile można najweselszych. Dobry kawał baraniny (tradycyjne *gigot*), dzban wytrawnego wina, pieśń świecka, często żartobliwa, składają się na tę ucztę radosną, przedłużającą się zazwyczaj dobrze za północ. Ucznie spotykają ludzie pierwszą godzinę nowej doby, ufni, że to im starczy za dobrą wróżbę na cały rozpoczynający się okres. Humorystycznego paliwa dostarcza w pierwszym rzędzie poezya. Nie sądźcie jednak, ażeby na turniej zwoływano koniecznie Rozbickich; kozłami ofiarnymi stają się owszem najwięksi mistrze: Delavigne, Lemaitre, Hugo. Każdy z nich, obok arcydzieł tu i owdzie popełnił jakąś słabostkę rymotwórczą, pozostawił końcówkę zaniedbaną, dał się okpić metaforze niezręcznej. Sztuka cała zasadza się jedynie na wynalezieniu takich słabostek i zboczeń.

Autor miniatnrowej „Lalki,“ szczęśliwy nabywca *Kuryera świątecznego*, bywał prawdopodobnie we Francyi i utwór swój w zaznaczonym wyżej widoku napisał, jak to zresztą otwarcie oznajmia w przedmowie: „Gdy na pieśniarskiej dokoła niwie trud gospodarski wschodzi leniwie, gdy za niziną ducha z pod ręki niezdarnie płyną słabe pobrzęki — lube zwyczaje święcąc w oddechu, lalkę wam daję, lalkę do śmiechu.“ Jeden z najgłośniejszych tegoczesnych historyków literatury, Karol Letourneau, w dziele „L'evolution litteraire dans les diverses races humaines“ (Paryż, 1894) wykazuje, że w ścisłem znaczeniu wyrazu poezya jest córką tańca. Prapradziadkowie nasi, skacząc i hasając dokoła swych ognisk odświętnie rozpromienionych, wykrzykiwali sobie w takt tych hołubców i dla podniety: „hej! hej!“ — lub podobnie. Działo się to naturalnie na kilkadziesiąt wieków przed Homerem. Z czasem do „hej“ dodano „lej,“ do „cup, cup!“— „łup, łup!“ — i tak powoli, stopniowo, doszliśmy aż do najwspanialszych hymnów św. Ambrożego *Aeterne rerum conditor*, św. Bernarda *Jesu decum angelicum*, św. Tomasza z Akwinu *Sacris solemnis* itd. — które świeżo, w przośliczny przekładach na język polski, znalazły umieszczenie w dziele P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego: „Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach“ (Warszawa, nakład Paprockiego, 1895, str. 511). O posłużeniu się poważnem tem dziełem w czasie przedświątecznym nie ma co i myśleć. Ale za to całutką „Lalkę“ można najwyborniej w ciągu godziny — obcasami odstukać, podeszwami odszastać. Zdaje się nawet, że czuć w niej tętno i nutę oberka lub też walczyka — gdyż nie dobrze na tem się znam. Snadnie sami się tego domyślicie z najpiękniejszego ustępu książeczki, gdzie mowa o portrecie lalki. „Była prześliczna — jak lilia mleczna. — Róż lekko z lica — blaskiem prześwieca, — a oczy duże — w pięknym lazurze, — pod rzęs osłoną — iskrami płoną... Godne piosenki — usta wisienki... Uśmiechem mami — i dołeczkami: — dwa z nich z pokorą — z ust słodycz biorą—pośrodku bródki — trzeci malutki“ itp.

Nieskończenie trudniej byłoby zastosować się do hypotezy Karola Letourneau z utworami Wincentego Rapackiego syna. Są to jakieś bardzo misternie uczone ronda, piruety, menuety czy gawoty, przeważnie włoskie; nigdym w życiu tego nie widział. Samo tylko „allegretto“ przypomina pewien taniec swojski, ukraiński, wielce oryginalny, męzki, na jedną osobę, która hebłując podkówkami pokój w tak zwanych *prisiudach*, opada i podnosi się z regularnością igły w machinie do szycia. Oto jest początek wytwornie skądinąd zbudowanego tego wiersza:

Już w błękicie
Brzęczą, syczą
Dziwnie, skrycie,
Tajemniczo
Owady.

[illegible]
Z której strony
Księżyc wschodzi
Zasmucony
I blady.

A motyle
Nad tem radzą,
Czy choć chwilę
Radzić dadzą
Nim spłoszą.

I w milczeniu
Na róż łonie,
W upojeniu
Każdy tonie
Z rozkoszą.

Ażeby jednak efekt był zupełny, trzeba w akompaniamencie śpiewnym kłaść nacisk na końcówki: [illegible] i *szą*. Pląs, tak nakręcony — uda się. Żadnych natomiast wysileń i akcentów nie wymaga ten oto wyśmienity kadryl:

Wszystkich kwiatów mi nie trzeba,
Jeden starczy,
Ma on cichy lazur nieba
Na swej tarczy.
Wplótł się między traw kobierce
Po nad rzeczką,
Złotą barwą błyszczy serce,
Jak słoneczko.
I za listki ziół się chowa
Jak najskromniej,
Szepce tylko te dwa słowa:
„Nie zapomnij...“

— Powiedz Trajkowskiej, że idę na śniadanie.

Trajkowska wyświeżona, w białym czepeczku na białych włosach, czeka mię ze stołem herbatnim.

— Dzień dobry panu. Jakże się spało? Czy nie przeszkadzały muchy? Wczoraj wieczorem sama je wylowiłam co do jednej, żeby paniczowi nie przeszkadzały. Herbatki, czy kawy? Śmietanka wyśmienita, sama wszystko przyrządzałam, bo ten Franciszek to do niczego.

Uczuwam prawdziwą przyjemność na widok tej twarzy pogodnej, tych oczu tak poczciwie, prawie z przywiązaniem patrzących na mnie.

— A Trajkowska jakże się czuje? — pytam, tknięty serdecznością.

Staruszka rozpogadza się bardziej jeszcze.

— Dziękuję, Bóg zapłać. Czemu nie mam być zdrową? Czy mnie tu czego brakuje?

Po niejakim czasie mówię znów do niej:

— Niech Trajkowska zbyt się gospodarką nie męczy. Trzeba się więcej wyręczać Franciszkiem. Mógłby i na targ chodzić, i ze stołu sprzątnąć.

Trajkowska podnosi się z krzesła.

— O, przepraszam pana, ale już co to, to nie. Gdyby Franciszek robił zakupy, gdyby Franciszek sprzątał ze stołu, michbyśmy się z pyszna, och!

Spojrzałem rozweselony jej zapobiegliwością, gdy wtem— znowu to samo. Z pochyloną głową, z zaciętemi wargami płukała zaciekle moją filiżankę, a z głębi jej, jak przed chwilą u Franciszka, jasno i dobitnie odzywał się niby szept głośny:

„Paradny sobie! Wyręczać się Franciszkiem! Niech Franciszek zabiera koszykowe, niech wytargowuje u kupców na swoją korzyść, niech zabiera sobie te szczypty herbaty, te kawałki cukru, to masło... A moja Klarcia może sobie duchem świętym żyć i powietrzem karmić swoje dziatki, a Walek niech sobie płaci, czem chce, za buty! Choć to hultaj, Bóg widzi, szczery hultaj, aleć to zawsze synaczek mój jedyniutki...“

Słuchałem zdumiony, a Trajkowska coraz niżej pochylała głowę, aż mrugać zaczęła zaczerwienionemi powiekami. Niczego w życiu tak się nie boję, jak łez. Jestem wobec nich absolutnym tchórzem, mianowicie gdy płacze taka stara, bielutka kobiecina. Zresztą, Boże święty, mnież to liczyć te jakieś okruchy, którymi ta poczciwa żywi swoją córkę i wnuki!

— Róbcie sobie, moja Trajkowska, jak wam wygodniej — zawołałem, rzucając na stół serwetę. I nie wołając Franciszka, wziąłem sam kapelusz i laskę i za chwilę z wielkiem westchnieniem ulgi i znalazłem się po za drzwiami mego mieszkania.

Do zarządu przybyłem w sam czas. I naczelnicy, i główni inżenierowie, i wszyscy nieodzowni właśnie byli się zeszli. Obrady rozpoczęły się wkrótce; jak to jednak często u nas bywa, że wiele się nagadamy, zanim coś uczynimy, tak i teraz kilkogodzinne rozprawy do żadnych poważnych postanowień nie doprowadziły. Było dużo biedowania o pewnych stratach w szczególności, o złych interesach naszej drogi w ogólności. Za to nowy nasz naczelnik ruchu tryumfująco podniósł cyfrę oszczędności, jakie za krótkich swych rządów zdołał zaprowadzić. Przypomniały mi się wtedy tragikomiczne opowiadania, które niedawno słyszałem o zredukowaniu do połowy ilości szmat i obrzynków sukna, pobieranych do oczyszczania wagonów, o zmniejszeniu nafty przy oświetlaniu banhofów, przyczem na pewnej stacyi pasażerowie w półcieniu błąkali się po dworcu, nie rozróżniając napisów, myląc się o drzwi. Przypomniały mi się wszystkie prośby zawiadowców, maszynistów, kon-

Ludzie starzy, stateczni, dla którychby już i kadryl był za ciężki, mogą sobie wybrać parę polonezów w dwutomowym zbiorze poezyj Władysława Stankiewicza. Naprzykład:

Dziwnie czegoś na świecie: tylko spojrz z oddali
Na tłum ludzki po ziemi kroczący, ściśnięty,
Z licem dumnie wzniesionem i lśniącem dyamenty,
Z lutnią na barkach, z piersią strojną w sznur korali.

Śmiech na ustach, wzrok tęczą wszechwzruszeń się pali,
Na skroni tak misternie wieniec z róż zwinięty...
Zaiste, toć weselny orszak uśmiechnięty
Pędzi na gody szumne, kędy go wezwali!

Zdaje się wszakże, że możnaby także dobrać coś nie coś i na tempo mazura:

Myślałem już
Utonąwszy w kobiecie,
Ssąc nektar z róż
Jej ust i rwąc to kwiecie,
Co niósł jej biust
I rzucał na mnie czary,
I z cudnych ust
Ssąc płomienne nektary
(A w nich był czad,
Co mnie odurzył całkiem)—
Myślałem rad
Żem został bohaterem
Dziwiącym świat.

Rozumie się samo przez się — i to się z góry, od samego wstępu zastrzegło, że tylko niektóre, bardzo rzadkie kawałeczki, nadają się do wspomnianego przednoworocznego, chóralnego i choreograficznego użytku. Reszta — płynie potokiem obcym odświętnej tej potrzebie serc lub nóg. W tylko co przytoczonym wierszu o pół kartki niżej, myśl zwraca się nagle na tory, niemające już nic zgoła wspólnego z pogańską genezą pieśni. Poeta przedstawia nam świat jako warsztat „pracy, która wstecz nigdy iść nie będzie“:

I bezmiar kół
W tym gmachu wciąż się rucha,(?)
By świat wciąż snuł
Nić ciała dłonią ducha,
[illegible]
To tkacza wszechnarzędzie,
Co z ciała szat
Szaty dla duchów przędzie,
A tkaczem duch
[illegible]ny — [illegible],
Przez drganny (?) ruch,
Ruchem życie wsze tworzy...

Surowy, religijny nastrój tych słów, pozwala też i recenzentowi zamknąć przeszłoroczną wiązkę sprawozdań nadzieją mniej więcej uzasadnioną, ale pobożną, że rok bieżący wysnuje dla nas na owym warsztacie pracy, która się nie cofa, jakąś nić barwniejszą, jakieś ciałko tęższe, jakiś cieplejszy na duszę kaftanik.

J. T. Hodi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Szkoła Sztuk pięknych. — Uniwersytet. — Nowe pisma. — Teatr. — Tow. im. Kraszewskiego i Czytelnia dla kobiet.— Biblioteka muzeum Baranieckiego — Wodociągi. — Nauczycielki „młodsze.“

Z niemałem zajęciem i nadzieją patrzył Kraków na zmiany, dokonywane w szkole sztuk pięknych przez nowego dyrektora. Wadliwie urządzona i źle kierowana dotąd, nie odpowiadała wymaganiom; uczeń, wyszedłszy z niej, musiał długo za granicą oduczać się tego, czego się tam z mozołem nauczył; wiele talentów wykrzywiło się i zmarniało. Zło to było wiadomem powszechnie, nie umiano jednak na nie znaleźć lekarstwa; wszelkich zmian lękano się, jak zarazy. I tak do ostatnich czasów nauka podzielona była na sześć kursów, uwieńczonych majsterszulą; rysunek rozpoczynano zawsze z antyków, jak za dawnych dobrych czasów. Dyrektor Fałat zniósł majsterszulę, urządził dwa kursy: rysunkowy i malarski. Po złożeniu dowodów odpowiedniego przygotowania, uczeń może przejść do malarstwa bez względu na czas, poświęcony rysunkowi. Nauka rysunków rozpoczyna się od szkiców z natury.

Znaczne zmiany zaszły też w personelu nauczycielskim: ustąpił profesor Łuszczkiewicz i Jabłoński, na ich miejsce powołano Teodora Axentowicza z Paryża i Leona Wyczółkowskiego z Warszawy, z dawnych pozostali: Loffler, Cynk i Unierzyski. Axentowicz, Cynk i Unierzyski wykładają na kursie rysunkowym; malarski jest pod kierunkiem Löfflera i Wyczółkowskiego; dział rzeźby prowadzi Daun. Profesorowie nadzwyczajni, wykładający nauki pomocnicze: anatomię, perspektywę, historyę sztuki, historyę powszechną, pozostali jak dawniej.

W uniwersytecie Jagiellońskim zajdą pewne zmiany: utworzono nową, nadzwyczajną katedrę dla geofizyki i meteorologii, na którą powołano Maurycego Rudzkiego, dotychczasowego docenta uniwersytetu w Odesie, powiększono siły wydziału lekarskiego: katedrę okulistyki obejmuje profesor Bolesław Wicherkiewicz z Poznania. Na ten cel rząd przeznacza w r. 1896 sumę 446.000 złr., wydatki zwyczajne zwiększono o 14.000 złr., nadzwyczajne zmniejszono o 83.000 złr.

Na polu wydawniczem ruch nieco ożywiony, jak zwykle o tej porze, przedstawia się jednak trochę inaczej, niż w innych latach. Obok zwykłych noworoczników, kalendarzy itp., ukazały się zapowiedzi nowych pism; jedna z nich już spełniona: z dniem 1-ym grudnia rozpoczął żywot *Dziennik poranny*, obliczony na szerokie warstwy ludności. „Związek literacki,“ przekształciwszy się, postanowił wydawać miesięcznik *Przegląd literacki*. Najważniejszą rubrykę jego mają stanowić sprawozdania ze wszystkich dzieł literackich, ukazujących się w języku polskim; uwzględniać będzie również literatury słowiańskie. Oprócz tego spółka literacko-artystyczna, niezrażona smutnym przykładem *Świata*, zapowiada wydawnictwo ilustrowanego tygodnika *Kłosy*. Pod redakcyą ks. Łabaja wychodzić będzie nowe pismo dla ludu; natomiast ustępuje z widowni *Krakus*, wydawany przez lat cztery kosztem spółki nakładowej. Z początku miał on najwięcej abonentów, obecnie liczba ich znacznie spadła. Niejednokrotnie już „brać starsza“ podobne robiła doświadczenia, ale one nie uczyły jej niczego. Chcąc pisać dla ludu, nie wystarczy używać języka gminnego, nie dość nadziewać powiastki morałami, przemawiać jak do dziecka. Tego „przewodnicy“ owi zrozumieć nie chcą.

Dyrekcya teatru krakowskiego, przekarmiwszy publiczność rozmaitemi „tezami“ i „kwestyami“ o wielkiej etycznej i estetycznej wartości, z Zapolską i bez niej, dla uspokojenia rozigranych nerwów, wprowadza widzów w świat baśni. Na zamówienie dyrektora Pawlikowskiego Zygmunt Sarnecki napisał „Szklaną górę,“ splecioną z podań i klechd ludowych. Występują tam królowie i królewny, dyabły i zwierzęta mówiące, w strojach średniowiecznych; muzyka i różnobarwne oświetlenie podnoszą efekt widowisk.

Sprawa pomnika Mickiewicza jeszcze nie skończona. Od roku już stoi na rynku krakowskim buda obita deskami, oblepiona afiszami. Rygier obiecał zrobić nowe modele, ale ani on, ani komitet nie daje znaku życia. Korzystając z bytności ks. Sanguszki w Krakowie, usiłowano dowiedzieć się od niego czegokolwiek, ale i sam prezes nic o tem nie wie i obecnie już nie wiedzieć nie może, albowiem przewodni-

---

duktorów, jakiemi w ostatnich czasach literalnie byłem zarzucony, o nieobcinanie sum, wydawanych na mieszkania, o niewytrącanie za urlopy, o pozostawienie dawnych praw używalności ogrodów itp. — cały ten alarm, jaki wybuchł nagle z powodu oszczędności naczelnika, stosowanej do ludzi, którzy za swoją mrówczą pracę ledwie jako tako przeżyć mogli.

W dalszym ciągu zdziwiło mnie niemało obstawanie naczelnika telegrafu za utrzymaniem na dawnej wysokości sum, pokrywających koszty nowej linii telegraficznej. Tak gorąco dowodził niemożebności zmniejszenia wydatków, że mimowoli zwrócił moją uwagę. W tem chyba coś jest — pomyślałem. Lecz cóżby mogło być? Któż nie zna jego prawych zasad, gorliwości w służbie, łaskawości dla podwładnych? Oburzyłem się sam na siebie za to krzywdzące i jego i mnie podejrzenie, z prawdziwą przyjemnością wpatrzyłem się w tę postać starca, pełną godności i wielkiej powagi, o rysach twarzy naccechowanych dobrocią. I w tej właśnie chwili, gdy żywiej odpowiadał oponentowi, dowodząc racyonalności swoich żądań, dosłyszałem jakiś głos inny, wyraźny i przyciszony, dobywający się z jego piersi:

„Zmniejszyć wydatki? Nigdy, nigdy! Cóż stanie się z moimi długami? Za co wykupię z banku mój majątek? Gotowiście może wyznaczyć komisyę dla roztrząśnięcia dawnych dziejów? Nigdy! Póki ja żyję, nie dopuszczę do tego. Toż musiałbym chyba w łeb sobie palnąć...“

Słuchałem tak zdziwiony, że na razie słowa znaleźć nie mogłem. Lecz gdy zarzuty umilkły i starzec uspokojony rozparł się wygodniej w swem krześle, porwałem się z miejsca i gotów już byłem wykrzyknąć na całą salę: „Nie wierzcie mu! Ten człowiek mówi nieprawdę! Posłuchajcie tylko jego myśli, jego sumienia!“

Ale na szczęście opamiętałem się w porę. Cóżbym wygrał? Któżby uwierzył tym chimerycznym, jakby się wszystkim wydało, dowodom? Uznając całą bezużyteczność mojej interwencyi, usiadłem znowu i tylko baczniej wszystkich obserwować zacząłem.

Zaiste, było co słyszeć. Po za obradującymi głosami ich, sam jeden tylko, słyszałem inne. Były to szepty ambicyi lub chciwości, pożądania tak cyniczne, że się z niczem liczyć nawet nie starały, niecne targi, kombinowane pracowicie na mieniu i niemal życiu najbiedniejszych i najcięższym trudem obarczonych pracowników. Słuchałem tego wszystkiego i zgroza przykuwała mnie do miejsca, czyniła bezwładnym, przejmując jednocześnie niewysłowioną goryczą i wstrętem. Chciwość i żądza znacznej większości tych panów nie była dla mnie nowością — ale widzieć i słyszeć bez żadnej osłony, tak przerażająco jasno ich dusze, ich sumienia — Boże, cóż to za straszne katusze! Gdym po kilkogodzinnem posiedzeniu opuszczał salę, czułem się tak zmęczonym, jakbym powstał z łoża boleści. Twarz moja musiała mię zdradzać, bo ten i ów podchodzili i ściskali mi ręce, wypytując uprzejmie o zdrowie.

Tak, czułem się chory — *na was* chory, mości panowie koledzy.

(D. c. n.).

W. Dal.



czył komitetowi, gdy był jeszcze marszałkiem krajowym. Dziś jest namiestnikiem, a troska o pomnik spadła na jego następcę, marszałka hr. Stanisława Badeniego, ale i ten nic nie wie...

Prawie tak samo jest traktowana sprawa wodociągów. Profesor Bujwid znowu przedstawiał Towarzystwu lekarskiemu wyniki badań wody gruntowej w okolicach Krakowa. Są one pomyślne, na terenie budzyńsko-cholenyńskim w dolinie Wisły woda dobra i jest jej tak wiele, że 4% starczyłoby dla całego miasta. Drugi członek komisyi wodociągowej, inżenier Ingarden, oświadczył również, że na podstawie dotychczasowych danych jest już zupełna rękojmia pomyślnego załatwienia sprawy wodociągów na przestrzeni powyższej. Trzeba jednak uzbroić się w cierpliwość i czekać.

W ostatnich czasach gmina miasta przecież jednę załatwiła sprawę, może pod wpływem przypominania dzienników tudzież ustawicznych skarg i zażaleń. Uporządkowała ona bibliotekę po ś. p. A. Baranieckim i oddała ją na użytek publiczny. Długi czas książki darowane Muzeum techniczno-przemysłowemu leżały w pakach, obecnie przeniesiono je i ułożono w jednej z wielkich sal, oznaczono stałe godziny dla publiczności. Księgozbiór złożony z 7,000 dzieł, obejmuje wszelkie działy technologii, sztuk, rzemiosł i przemysłu, wszystkie gałęzie przemysłu artystycznego i prace z dziedziny malarstwa, rzeźbiarstwa i architektury, wzory rysunkowe i reprodukcye graficzne. Są tam również czasopisma artystyczne i przemysłowe, krajowe i obce.

Towarzystwo imienia Kraszewskiego zamierza zmienić nazwę i rozszerzyć działalność swoją; pragnie mianowicie wspomagać Polki nie tylko kształcące się na uniwersytetach lecz wogóle sposobiące się do wszelkiej pracy zawodowej, czy naukowej. Wydział chce zebrać jak najwięcej funduszów dla urzeczywistnienia swych celów: urządzona zabawa dla dzieci przyniosła przeszło 300 złr. dochodu. Zapowiedziano bal na dochód Towarzystwa. Pokrewna w zadaniach, czytelnia dla kobiet, nie mogąc na początek uzyskać pomocy, stara się usilnie skupić niewiasty pod sztandarem wspólnej pracy; przez częste odczyty usiłuje rozszerzać światło. W planach jej leżą także założenie gimnazyum dla dziewcząt. Do urzeczywistnienia tych planów kroczy stale, chociaż powoli; liczba jej członków wzrasta, a działalność się rozszerza.

Nauczycielki tak zwane „młodsze", wnoszą podanie do Sejmu o zrównanie w płacy ze „starszemi;" praca ich i przygotowanie pedagogiczne zupełnie jednakowe. Po dziesięciu latach wyrzekiwania, nieraz i dłużej, skończona seminarzystka dostaje posadę tymczasową z roczną płacą 480 złr. Po takiem prowizoryum," (które również trwa około 10 lat) jest rzeczywistą „młodszą;" płaca jej się nie zwiększa, rosną natomiast rozmaite podatki tak, że po ich spłaceniu zostaje każdego miesiąca około 25 złr., z tem musi czekać znowu kilka lat na awans. Podział taki na „młodsze" i „starsze" nie istnieje np. we Lwowie; tu jednak utrzymuje się dzięki pewnym członkom Rady Szkolnej, którzy chcą w tej różnicy widzieć bodziec do dalszego kształcenia się. Nie rozumieją oni że nauczycielka miałaby więcej czasu, sił i chęci do pracy nad sobą (nauczycieli młodszych jest tylko dwóch w całem mieście), niepotrzebując po za szkołą wyczerpywać sił, poto, aby lekcyami zarobić przynajmniej drugie 25 złr., na niezbędne potrzeby. Interesowane mają nadzieję, że w Sejmie znajdą się tacy, którzy ich żądanie poprą.

Ar.

Z NIEMIEC.

Berlin, 24 grudnia.



Dotychczasowa organizacya uniwersytetów pruskich stoi przed groźną zagadką: *to be or not to be.* W roku przeszłym Stumm zadenuncyował w parlamencie profesorów ekonomii politycznej uniwersytetu berlińskiego, jakoby ci wstąpili na bezdroża nieprawomyślności. W odpowiedzi studenci urządzili na cześć spotwarzonych bankiet. Korporacya profesorska, idąc za przykładem studentów, obrała prof. Wagnera, jednego z dwu pokrzywdzonych braci Dioskurów, na stanowisko rektora wszechnicy miejscowej. Profesorowie dali więc do zrozumienia, iż życzą sobie zachować i nadal niezależność uniwersytecką, uświęconą przez prawo i tradycyę. Pruski minister oświaty Dr. Bosse nie podziela jednak widocznie tych poglądów. Gdy uniwersytet nie uznał jego żądania, domagającego się usunięcia z urzędu dwu docentów, minister zwrócił się do profesora prawa kościelnego, Hinschiusa z prośbą o wypracowanie memoryału w kwestyi stanowiska docentów uniwersytetów pruskich. Zadośćuczynił on temu żądaniu, dowodząc iż prywatni docenci są urzędnikami państwowymi i z tej racyi ich urzędowe czynności mogą być zawieszone każdego czasu, zależnie od woli ministra. Pięćdziesięciu kilku profesorów wszechnicy berlińskiej, a w tej liczbie większość wydziału prawnego, podało w tych dniach ministrowi inny memoryał, w którym dowodzą iż wnioski Hinschiusa są wyssane z palca; przeczy im bowiem praktyka uniwersytecka wielu setek lat. Wśród podpisów figurują nazwiska najgłośniejszych świeczników uniwersytetu. Fakt ten zasługuje tembardziej na uwagę, iż nie wiele można naliczyć podobnych wypadków. W 1849 r. pruski minister oświaty zażądał uwolnienia od urzędu nieznanego wówczas jeszcze światu docenta Rudolfa Virchowa za ogłoszone, jeżeli się nie mylę, badania w sprawie tyfusu głodowego na Szlązku, które narobiły wtedy wiele hałasu i zaniepokoiły niemieckie sumienie. Wydział medyczny nie poparł żądania ministra. W 1877 r. fakultet filozoficzny za zgodą ministra odebrał prawo wykładu ślepemu docentowi, Eugeniuszowi Duhringowi za jego nietaktowne zachowywanie się względem kolegów.

Przypuszczam, iż protest ułożony obecnie przyniesie pomyślny skutek, gdyż opinia Hinschiusa rozmija się ze sprawiedliwością prawną i etyczną. Uniwersytety pruskie są instytucyami o charakterze mieszanym. Figurują one wprawdzie w budżecie ministeryum oświaty pod osobną rubryką, wydział powołuje uczonych na urząd profesorski za pośrednictwem ministra, w ten sam sposób również wyklucza ze swego grona docentów lecz z drugiej strony wszechnice pruskie mają sporo przywilejów autonomicznych, posiadają swój własny majątek, samorząd w sprawie wykładów naukowych i udzielania tytułów: mogą obdarowywać monarchę tytułami w rodzaju *doctor honoris causa* lub *rector magnificentissimus*; wreszcie mają prawo mianowania prywatnych docentów z obowiązkiem zawiadamiania ministra o dokonanej habilitacyi. Docent jest więc zależnym tylko od swego wydziału. Niegdyś docentura miała na celu przygotowywanie kandydatów do urzędu profesorskiego. Z biegiem czasu ciało profesorskie przejęło się zasadami oligarchii i plutokracyi; stojąc na straży swych przywilejów, niechętnie dopuszczało kogoś kolwiek do korzystania z nich. Docentura w chwili obecnej nie daje widoków na awans. Jeżeli jednak tylu ochotników garnie się do tego urzędu, przypisać należy to aureoli, jaką otacza opinia publiczna każdego kapłana świątyni wiedzy. Docentura jest przeto dla lekarza drogą do rozległej praktyki; przedstawicielom innych nauk otwiera salony i serca bogatych parweniuszów, mających córki na wydaniu. Instytucya docentury oddaje nauce wielkie usługi. Uznane powagi profesorskie stronią od owych prądów i trzymają się swych dawno wydeptanych ścieżek; młodzi niezależni uczeni odmładzają naukę, wnoszą do niej pierwiastek *plein air u.* walczą przeciwko dogmatom mandarynów wiedzy w uniwersytecie berlińskim o wydział filozoficzny opiera się przeważnie na prywatnych docentach i ciało profesorskie ani ilościowo, ani tembardziej jakościowo nie odpowiada wymaganiom wykładu filozoficznego. Wszelki zamach na docentów przy obecnem położeniu rzeczy podkopuje powagę i godność wszechnicy. Wobec przywilejów uniwersyteckich, uświęconych przez zwyczaj i prawodawstwo niemieckie, krok dr. Bosse pozostanie prawdopodobnie bez skutku.

Jeden ze znanych literatów tutejszych, Karol Schmidt, wystąpił z oryginalnym projektem założenia towarzystwa opieki nad... dramatopisarzami. Myśl ta jest logicznym wynikiem humanitarnego charakteru naszej epoki. Nędza i upośledzenie najbardziej pokrzywdzonych rzeszy Apollina oddawna już wołają o pomstę do nieba. Poeta i literat w Berlinie przestali być panami swego własnego ducha, lecz muszą naginać się do wskazówek agentury literackiej, która zwęszywszy, w jaką stronę wieje wiatr w świecie czytelniczym, stara się o zaopatrzenie rynku literackiego w odpowiedni produkt ducha. Ujść szponom handlarzy, frymarczących cierpieniami duszy artystycznej, potrafi tylko ten kto może wydać utwór swoim kosztem. Lecz jest dziedzina literatury, gdzie nawet przy odpowiednich funduszach pieniężnych własna inicyatywa jest wykluczoną. Każdy początkujący dramatopisarz bez wyjątku musi - taj uciec się do pośrednictwa jednej z licznych agentur teatralnych, gdy życzy sobie, aby utwór jego dostał się na scenę. Nieznany światu młodzieniec nigdy nie zdoła uprosić dyrektora teatralnego, aby raczył przeczytać jego sztukę. Tylko agent, posługując się licznymi stosunkami, może kołatać skutecznie. Z chwilą, gdy ta przeszkoda jest usuniętą, zaczyna się inna praca: przygotowywanie opinii ogółu. Publiczność premierowa w Berlinie ma swą wykwintnie typową fizyognomię i zmienia się w składzie tylko ze zmianą generacyi. Zwolennikami premier są osoby z wyżyn finansowych, a więc ludzie nieodznaczający się wytwornym gustem lub głębokiem rozumieniem produkcyj artystycznych; w sądach swych są zależni od podszeptów krytyki lub od swego usposobienia, czego dowodem, iż w dniu wstrząśnień giełdowych najlepsze premiery doznają nielaski. Najwyższą instancyą, do której można apelować po wyroku, wydanym przez publiczność, jest krytyka. Ta zaś z nielicznymi wyjątkami jest przekupną; nie otrzymawszy haraczu, stara się utwór strącić na poziom mierności. Berlińscy krytycy teatralni są niedoszłymi lub zapoznanymi przez świat wielkimi dramatopisarzami, co w rezultacie jednakowo boleśnie daje się we znaki nowicyuszowi, przedstawiającemu widzom pierworodne dziecko swego ducha. Rzeczą agenta teatralnego jest ugłaskać krytykę. Smutny los autora, oddającego się pod opiekę wyzyskiwacza, który mu dyktuje warunki, a z czasem prawa twórczości dla utorowania drogi do sławy! Przed kilku miesiącami powstała tu „scena próbna," która miała uwolnić pisarzy dramatycznych od kliki i „pająków" teatralnych. Komitet, składający się z bezstronnych sędziów, po przeczytaniu utworu był obowiązany zająć się wystawieniem. Instytucya ta jest już, niestety,

u kresu swego krótkiego żywota i dlatego towarzystwo projektowane przez Schmidta, jest na czasie. Nie wiadomo, czy projekt zyska uznanie publiczności.

PODATEK SZPITALNY.

Półtora roku już upłynęło od czasu wprowadzenia podatku szpitalnego. Okres ten jest dostateczny do ocenienia rezultatów. Przedewszystkiem ludność uboga prawie nie poczuła ulgi, ci, którzy zapłacili po rublu, częstokroć z wielkim wysiłkiem, doznali, zawodu w przyjęciu na kuracyę. Z drugiej zaś strony procent chorych „bezpłatnych" bądź co bądź zwiększył się znacznie, a suma około 680,000 rs. tą drogą ściągnięta, utonęła prawie bez śladu w ogromie potrzeb. Godne są uwagi obliczenia i zapatrywania *Zdrowia* w tej sprawie:

Zdawałoby się, że tym sposobem dodatkowo uposażone, znajdą się materyalnie w lepszem położeniu, ale w istocie sądzić *à priori* można, że stan ten znacznie się pogorszy jeżeli będzie istnieć prawo, pozwalające wszystkim opłacającym rubla na rok, korzystać z bezpłatnej kuracyi i to wraz z żonami i dziećmi w wieku mniej niż lat 17. Przedstawmy sobie prosty wypadek, że ludność danego miasta składa się stale z 1000 ludzi i z tych 25 rocznie umiera. Według Pettenkofera i innych, na jednego zmarłego przypada około 30 chorych, czyli z 1000 ludzi chorych będzie na rok 750 (tj. około 2 dziennie). Ponieważ średni pobyt jednostki w szpitalach wynosi 20 dni, więc w danym razie będziemy mieli 15,000 dni szpitalnych. Gdyby koszt dzienny utrzymywania chorego czynił 50 kop., to wogóle wypadłoby 7,500 rs. Cyfrę tę można zmniejszyć najwyżej o 2—3 tysiące rs., przypuszczając że dzieci w pierwszym roku życia leczone są w domu, tak samo wszelkie lżejsze cierpienia. Przy ścisłem atoli stosowaniu przepisów należy przypuszczać, że ci, którzy mają prawo korzystać z kuracyi, pochłoną 10 razy większą sumę niż wnoszą (w Warszawie 1/3 ludności opłaca podatek). W naszem mieście, gdy liczba mieszkańców dosięgnie okrągłej cyfry 600,000*) podatek, przy dzisiejszym sposobie pobierania, da 200,000 rs. rocznie. Biorąc pod uwagę śmiertelność 25%, czyli chorych rocznie 750%, *Zdrowie* przewiduje taki stan rzeczy: Ponieważ w liczbie opłacających podatek znajdują się wszyscy niemal służący prywatni i służące a są to ludzie zwykle samowolni (nie otoczeni rodziną), którzy stanowią około 13% ludności zatem w liczbie 200.000 jest ich około 78,000; pozostaje jeszcze 122,000 osób opłacających. Według wykazów spisu jednodniowego, około 427,000 powinno korzystać z praw, nadanych za pośrednictwem podatku (prócz służby). Ogółem tedy wypadłoby, że z prawa kuracyi szpitalnej przy 200.000 rs. podatku powinno korzystać 500.000 osób. Na tę liczbę przypadłoby chorych rocznie 375,000. Po odtrąceniu pewnej cyfry na dzieci w pierwszym roku życia, suma przypuszczalna wyniesie 250,000 (w tem około 50,000 służby), mogących fabrycznie korzystać ze szpitali. Ponieważ na każdego przypada 20 dni, zatem w ogóle suma urośnie olbrzymio: pięć milonów dni! Licząc koszt dzienny utrzymania chorego 50 kop. (obecnie nawet znacznie więcej), wypadnie około 2½ mil. rubli rocznie, „jako obowiązek z podatku, dostarczającego 200.000 rs." Dzisiaj szpitale wydawać mogą przeszło 600.000 r. oprócz dochodu z opłaty kuracyjnej. Chcąc zatem podołać obowiązkom, trzeba byłoby zdobyć jeszcze w najlepszym razie przeszło milion rubli rocznie.

Zwiększać środki w dzisiejszych warunkach, zdaniem pisma, można bardzo łatwo przez obciążenie podatkiem rublowym wszystkich dorosłych obywateli miasta. Przyniosłoby to wszakże tylko 150.000 rs., oprócz sumy, obecnie ściąganej. Zamożni korzystać nie będą ze swego prawa, więc liczba chorych pozostanie ta sama. Oprócz tego ustanowienie opłaty 15-kopiejkowej dziennie od osoby za kuracyę w szpitalu zwiększyłoby dochód prawie o całą pożądaną kwotę. Nie powinno przy tem być różnicy w taksie, oznaczonej dla chirurgicznych, dziś znacznie wyższej. Zwiększywszy podatek, należałoby jeszcze przez parę lat nie zmieniać systemu przyjmowania chorych. Dochody tą drogą zebrane posłużyłyby na zbudowanie nowych zakładów, dla pomieszczenia wszystkich chorych. Autor zaznacza, że oprócz dodatkowego szpitala ogólnego, jeszcze są gwałtownie potrzebne: przytułki dla chorych chronicznych i nieuleczalnych, tudzież wielki szpital dla dzieci, ulegających cierpieniom zakaźnym.

W całym tym projekcie widzimy sporo dobrych chęci i pewną sumę środeczków, nie mogących nawet w drobnej cząstce zadość uczynić potrzebom istotnym. Szpitale należą u nas do instytucyi najwadliwszych, szczupłych, nie odpowiadających pilnym potrzebom ogółu; przy tem stosunkowo bardzo nędznie są uposażone. Pomimo że je przeznaczono dla najuboższych warstw ludności, powinny posiadać, że tak powiem komfort hyhieniczny, wymagający znacznych kosztów. Trzeba raz nareszcie z tem się zgodzić, że zdrowotność jest wielką siłą społeczeństwa, że od niej zależy rozwój duchowy i materyalny. Przepełnienie szpitali u nas i trudność zdobycia przytułku, tak rażą dla tego, że jest ich zamało. W gruncie rzeczy ludność nawet najuboższa nie tylko nie posiada zaufania lecz w wielu wypadkach czuje wstręt do tych zakładów, bo jest przekonana, że stanowią one przedmurze grobu. I ma poniekąd racyę. W szpitalach naszych stosunkowo dosyć dużo chorych umiera, nie dla tego, żeby tam był brak opieki i umiejętnej pomocy lekarskiej, lecz że najczęściej przychodzą do nich śmiertelnie chorzy, zmuszeni ostatecznością. Gdyby instytucye te były urządzone według wszelkich wymagań hygieny, gdyby zdobyły tą drogą sympatyę i zaufanie ogółu, nawet najciemniejszego, liczba kandydatów co najmniej potroiłaby się. Ci, którzy w nędznych warunkach domowych bardzo często chorobę uleczalną doprowadzają do śmiertelnej, udawaliby się zawczasu do wzorowych i obszernych szpitali, gdzie procent uzdrawianych rósłby ciągle i tem samem wzmacniałaby się ufność powszechna.

Takich wszakże warunków nie wytworzy ani nowy podatek, zalecany przez *Zdrowie*, ani opłata 15-kopiejkowa. Przedewszystkiem sam system podatkowy jest nieracyonalny, na co zaraz po jego wprowadzeniu zwrócił już uwagę *Poseł Prawdy* i zaznaczył, że właściwie powinno być opodatkowana nie uboga ludność pracująca, lecz ci, którzy z jej pracy korzystają. Od rozłożenia odpowiedniego i sposobu ściągania tych poborów zależy wielkość sumy ogólnej. Dodajmy wreszcie, że oprócz podatku bezpośredniego, trzeba byłoby jeszcze innemi drogami rozszerzyć źródła dochodów szpitalnych, nie obarczających nadmiernie jakiejś upatrzonej warstwy społeczeństwa.

—p.—

*) Na zaokrąglenie tej cyfry nie będziemy już długo czekać.

LIBERUM VETO.

Pogrzeb zmarłego roku i jego spuścizna. — Zwycięztwo kobiet w walce o uniwersytety. — Telegrafujące kury i wykształcone zwierzęta wobec emancypacyi niewieściej. — Włosek bez bawełny. — Konserwatyzm warszawski. — Nasz werbunek jego rycerzy. — Szewc z *Pięknej Heleny* i przygoda z Dumasem. — Oburzenie pasterza na niesforną owczarnię. — Życzenia

Rok miniony odwieziony został przez prasę na cmentarz czasu karawanem ostatniej klasy; nie dano mu wieczystego grobu, nie uczczono żadnym pomnikiem, nikt po nim nie płakał i nikt nie nosi żałoby, bo za życia nikt go nie kochał. Ponieważ wszakże śmierć zmazuje grzechy a uwydatnia zasługi, więc wydobądźmy ze spuścizny po nieboszczyku cokolwiek godnego pamięci. Rzeczywiście, jeden gatunek ludzki zachowa po nim niezłe wspomnienie, mianowicie—kobiety. Naraz w kilku punktach Europy zabłysły dla nich promienie nadziei dostania się do uniwersytetów. W Rosyi, Niemczech, Austryi, Anglii zaczęto im otwierać podwoje wszechnic lub przynajmniej obiecywać zdjęcie klątwy, wyłączającej je ze świątyń wiedzy wyższej. Podczas gdy w Krakowie ze szlachetnych usiłowań i ofiar prof. O. Bujwida i jego żony zrodził się zamiar założenia gimnazyum żeńskiego (czterech wyższych klas) z programem szkół męzkich, węgierski minister oświaty rozesłał pod datą 24 grudnia rozporządzenie do senatów akademickich w Budapeszcie i Klausenburgu, uzasadniające potrzebę i obowiązek dopuszczenia kobiet do studyów uniwersyteckich. Dr. Massics rozumuje bardzo prosto, ale z wielką chlubą dla swojej głowy. Zmiana stosunków społecznych — powiada on—zmusza kobiety do udziału w walce o byt, a jednocześnie rozszerzenie wykształcenia uprawniło je do zajęcia wielu stanowisk, od których dotychczas były odsunięte. Szczególnie uzdolnione nie mogą już dziś zadowolić się powołaniem, opartem na niższym stopniu rozwinięcia umysłowego. Zasadnicze wykluczenie kobiet z pewnej części zawodów naukowych jest jedną z wielkich niesprawiedliwości i krzywd, które przynoszą ujmę cywilizacyi. Nieprawdą jest, ażeby nauka stanowiła przeszkodę w działalności rodzinnej. Przeważna część kobiet będzie zawsze widziała w niej swój główny cel. Minister spodziewa się nadto, że wyższe ukształcenie i uzdolnienie do pracy niewiast usunie spekulacyę przy zawieraniu małżeństw i umożliwi je pannom bezposażnym. Innych twierdzeń i obietnic dr. Massicsa nie przytaczam, gdyż one są znane wszystkim obrońcom tego bardzo opóźnionego w dziejach wyzwolenia. A chociaż u nas dotąd jeszcze na rozmaitych krzakach „konserwatywnych" siadają rozmaite gile, które wesołym świergotem drwią z nauki i postępu, a także z emancypacyi kobiet, uważam tę sprawę za tak przesądzoną w ostatnich instancyach, że nie będę jej dziś bronił. Robiłem to dawniej, kiedy jeszcze nie była wygraną przed trybunałem rozumnej opinii publicznej. Tym wszystkim zaś, którzyby ją chcieli bodaj przewlec, radzę zwrócić energię w inną stronę, dokąd ich powołuje obowiązek walki za tradycyę. Oto pewien burzyciel porządku społecznego postanowił nauczyć kury sztuki telegrafowania. Wyszedł on z następującego założenia. Ponieważ telegrafowanie polega na naciskaniu klawisza, które kura może łatwo wykonać nogą; ponieważ jej nieliczne głosy dadzą się wyrazić — krótkie za pomocą kropek, a dłuższe — za pomocą kresek lub kombinacyi kresek z kropkami, przeto po pewnej tresurze można będzie łatwo doprowadzić

dwie uczono kury do tego, że gdy jedna z nich na stacyi wysyłającej zacznie naciskać klawisz przyrządu telegraficznego, druga na stacyi odbierającej, spostrzegłszy szereg kropek i kresek, zaraz je wygdaka. Nie ulega żadnej wątpliwości, że jeżeli ta burzycielska inowacya wejdzie w życie i upowszechni się, kury przestaną nieść jaja i wysiadywać kurczęta, a natomiast będą chciały ciągle telegrafować. Wobec tego groźnego niebezpieczeństwa, które uniemożliwiłoby nam poprostu urządzanie nietylko obiadów uroczystych, ale najzwyczajniejszych, a p. Ćwierczakiewiczowa musiałaby przerobić swoje dzieło i oprzeć je na nowych podstawach, sądzę, że głośny i nieugięty protest konserwatyzmu byłby bardzo pożądanym, niemal koniecznym. Ludzie wszakże lepiej odemnie znający logikę wielkich potęg myśli i życia, zapewniają mnie, że „dobrze pojęty,“ a zwłaszcza tak zwany „nowokonserwatyzm“ nadwiślański nie miałby nic przeciw telegrafującym kurom i wogóle przeciw kształceniu zwierząt. Wszakże — mówią mi—on z zachwytem przygląda się w cyrkach koniom grającym na fortepianie, psom dyrygującym orkiestrą, osłom śpiewającym arye operowe, nawet świniom spierającym się z clownami. czemże gorszą ma być kura, umiejąca wysyłać i odbierać depesze? Rzeczywiście, ma to rozumowanie pewną słuszność, a w takim razie mnie nie pozostaje nic innego, jak wyprowadzić z niego wniosek. Mianowicie: kura, koń, pies, osieł, świnia mogą być kształcone do najdalszych granic ich uzdolnienia, ale ta istota ludzka, która bywa naszą matką, córką, siostrą, żoną, światłem i rozkoszą życia naszego, nie powinna nigdy wznosić się w swem rozwinięciu umysłowem nad poziom pierwszej służebnicy.

Ach, gdyby przynajmniej wyznawcy tej reguły chcieli ją wypowiadać tak jasno i szczerze! Ale oni zwykle obwijają jej jądro w bawełnę, uskubaną z piór „aniołów,“ z puchu „ideałów,“ z włosów „kapłanek ogniska domowego“ itp. Szczerości nie lubią. Gdyby między nimi stanął de Maistre i przełożył ich paplaninkę na swój jasny a okrutny język małpoluda, uciekliby od niego z takim przestrachem, jak od Belzebuba radykalizmu. Bo cały konserwatyzm obecny naszego dziennikarstwa mógłby dziad wędrowny zapakować w swoją torbę i zmieścić jeszcze w nią kromki chleba z dziesięciu wsi. Jest to garść plew, która tylko przez ciągłe rozdmuchiwanie przybiera postać tumanu i zasypuje ludziom oczy kolącemi łupinkami. Po za czterema — pięcioma ludźmi którzy szczerze wierzą w to, co głoszą, reszta przedstawia zbieraninę najmitów, którym jest zupełnie obojętnem co mają sobie włożyć w usta do wyplucia aby tylko wkładali w nie coś smacznego do połknięcia, z dezerterów wszelakiego znaku, którzy wczoraj rąbali się językiem i piórem za Darwina, a dziś zaciągują się do pułku ks. Dębickiego, wogóle z mydlków, którzy upatrują w życiu ścieżek, wysypanych złotym piaskiem. Taki mydlek, wsunąwszy się na pole literatury ze zdatnością do gładkich rymów lub szumnych frazesów, rozgląda się, wyciąga nos ku wiatrowi i węszy, z której strony zalatuje go najsilniejsza woń przynęty. Czasem długo błąka się, myli i dopiero po pewnym czasie wpada na właściwe tropy. Ach, ileż tych lisów przesunęło się około naszej redakcyi! Przychodzi do nas jakiś emigrant z prasy galicyjskiej lub tutejszy klejnocik i z możliwie słodką miną mówi:

— Byłbym panom bardzo wdzięczny, gdybyście w swem czcigodnem piśmie znaleźli dla mnie jakiś kącik. Nie chodzi mi jedynie o zarobek, ale także o zaszczyt pracowania w tak wzniosłym organie, pod tak dostojnym sterem. Od dawna było to mojem marzeniem, które dopiero dziś ośmielam się itd.

Doświadczenie nauczyło nas wielkiej wprawy w wyłuskiwaniu prawdy z takich uwielbień i dlatego po krótkiej indagacyi odpowiadamy:

— Jakkolwiek niezmiernie zaszczytne i miłe są dla nas te oświadczenia, jednakże sumienie każe nam ostrzedz pana. Nie gub się dobrowolnie! Naprzód my jesteśmy biedni i nigdy twej pracy nie wynagrodzimy należycie. Powtóre nie mamy stosunków, któreby panu pozwoliły zdobyć jakąś soczystą posadkę. Potrzecie, związek z nami utrudni panu karyerę. Z tych względów radzimy, zapukaj pan do redakcyj, które mają w swem ręku dobrodziejstwa losu.

Młodzieniec uśmiecha się z pełnym wdzięczności ukłonem i odchodzi. Wstrzymujemy go:

— Jeszcze słówko. Debiutując, nie zapomnij pan z pierwszej lepszej kałuży cisnąć błotem na redaktora *Prawdy* i innych „pozytywistów warszawskich.“ Są u nas znakomitości literackie, które temu tylko bohaterstwu zawdzięczają swą sławę. To i panu bardzo dobrze zrobi.

Usłuchało wielu tej rady. Ci, którzy zapewniali mnie w listach, że „prędzej sobie palce odgryzą, niż przeciw mnie pisać będą,“ których musiałem powstrzymywać, ażeby mi nie całowali rąk, ci wszyscy — naturalnie zwymyślawszy mnie szeroko otwartemi buziami—stanowią chlubę konserwatyzmu i zdobyli sobie w nim nawet wysokie rangi. Nie, ja nie tracę nadziei, że ten obóz kiedyś mi się odwdzięczy za zwerbowanie mu dzielnych szermierzy!

Szewc z *Pięknej Heleny*, przerobiony na majora, ciągle wychodzi ze swej świeżej roli i chce obecnym brać miarę na buty. Podobnie czynią konserwatyści warszawscy. Pamiętają oni, że w sprawach miejscowych trzeba wygwizdywać pewne kuranty i zniesławiać pewne osobistości, ale gdy zaczną mówić o rzeczach i ludziach obcych, zapominają o swym konserwatyzmie i w mundurach majorów okazują się szewcami. Niedawno właśnie zdarzył im się znowu taki fatalny wypadek. Nie wiedzieli oni wcale, że Watykan wszystkie utwory Dumasa wprowadził na listę dzieł zakazanych i surowo zabronił wiernym je czytać. Tymczasem nasi konserwatyści, biedne skopy upieczone *à la* sarna, nie spostrzegając chmury i nie przeczuwając gromu z pogodnego nieba, złożyli na grobie wyklętego nieboszczyka mnóstwo wieńców za rozmaite cnoty, a między innemi także za wspaniałą naukę moralności. *Przegląd katolicki* zdrętwiał ze zgrozy. Wprawdzie on często przekonywa się ze smutkiem, że jego owce wydają jakieś niezwykłe ryki, że zamiast kopytek mają pazury, że włażą na wysokie drzewa do barci i uganiają się w powietrzu za gołębiami, słowem, że zdradzają naturę nieoweczą, ale żeby śmiały mianować apostołem moralności libertyna — tego już zanadto! Więc też oburzony pasterz trzasnął biczem nad niesforną trzodą, która w przerażeniu umilkła i przysięgła sobie już nigdy głośno o Dumasie nie beczeć.

Jakkolwiek położyłem już wiele zasług dla konserwatyzmu warszawskiego, zwłaszcza dając znacznej części jego nieustraszonych zapaśników sposobność do odznaczenia się męztwem i wydobycia z siebie „barwy,“ którejby sami przez się nie okazali, służę mu jeszcze jednem noworocznem życzeniem: niech on... skonserwatywnieje, niech sobie — bodaj z Irlandyi lub Tyrolu — sprowadzi ludzi jednolitych, szczerze wierzących, bo te jego wilkołaki liberalno-konserwatywne już nam obmierzły i wreszcie chcielibyśmy doczekać się poważnych i godnych szacunku przeciwników.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Lublin. W majątku Świdnik gm. Miączyn, pow. Hrubieszowskiego powstała niedawno fabryka cykoryi, pierwsza w całej gubernii. Przed trzema laty właściciel tych dóbr. p. Węgliński założył u siebie plantacye owej rośliny i po wysuszeniu wysyłał do Warszawy. Powoli przekonał się, że nowy dział przedsiębiorstwa może silnie podtrzymać gospodarstwo a prowadzony więcej samodzielnie, da niezłe zyski. Nie zawahał się więc założyć własnej fabryki w której pracuje już 40 robotników. W roku ubiegłym plantacye 65 morgowe dały plon przeszło po 700 pudów z morga. Niech przykład powyższy będzie bodźcem dla innych ziemian, ale nie w znaczeniu ślepego naśladownictwa bo gdyby w całym kraju zaczęto na gwałt uprawiać cykoryę, prędko stworzonoby nadmiar, zgubny dla gospodarstwa. Fakt powyższy powinien być tylko wskazówką i przypomnieniem, że wiele roślin dziś lekceważonych, można byłoby plantować i czerpać z tego źródła zasiłek dla osłabionego rolnictwa.

Mińsk. Na przedświątecznych obradach ziemian w miejscowem Towarzystwie rolniczem najbardziej uwagę uczestników zaprzątnęła sprawa utworzenia syndykatu, czyli spółki. Projekt ten, podany na wiosnę r. z., był zatwierdzony już na poprzedniem zebraniu. Dla opracowania ustawy wybrano komisyę, w której skład weszli pp. Emanuel Obrąpalski, dwu Bochwiców (ojciec i syn), Eugeniusz Kowalewski, Romuald Chełchowski, Franciszek Łętowski, Eustachy Sobański, Ludwik Cybulski. Przepisy wzorowano na „Consumvereinie“ w Libawie tudzież na stowarzyszeniu rolników witebskich. Obecne rezultaty tej pracy złożono Towarzystwu. Wice prezes p. Wojniłołłowicz, twierdził, że przedewszystkiem należy tę ustawę ogłosić drukiem i rozesłać członkom, ażeby mogli na następnem zebraniu wypowiedzieć swe zdanie. Ale ze względu że tym sposobem uskutecznienie projektu przewlekłoby się zanadto, postanowiono większością głosów przepisy te odczytać tylko na zebraniu i zmienić lub uzupełnić ustępy, które ulegną zarzutom, a następnie przesłać do ministeryum rolnictwa dla zatwierdzenia. W rezultacie narad postanowiono nie ograniczać liczby udziałów w posiadaniu jednej osoby ażeby nie krępować kapitału, który może wejść do przedsiębiorstwa. *Maximum* głosów należy ograniczyć do 10-ciu w ten sposób, iż posiadacz jednego udziału ma głos jeden; każde zaś trzy następne w ręku tej samej osoby zwiększają liczbę głosów o jeden. Chcąc zatem mieć ich dziesięć, trzeba nabyć 28 akcyi 100-rublowych. Cyfra wyższa nie przyczynia się już do zwiększenia liczby głosów. Początek powiódł się świetnie, gdyż pomimo szczupłej gromadki obecnych członków, kupiono już udziałów za 27,000 rs. Uczestnikami syndykatu mogą być tylko członkowie Towarzystwa rolniczego.

Petersburg. Dnia 20 grudnia w kasacyjnym cywilnym departamencie senatu sądzoną była sprawa hrabiego W. Platera z p. W. Tollem, która zakończyła spór, trwający od lat dwudziestu o majątek Wiszniowiec, położony w kraju południowo-zachodnim (gub. wołyńska, pow. krzemieniecki). Dobra te z olbrzymim starożytnym zamkiem, z którym łączy się mnóstwo wspomnień historych, kupione były w lutym 1876 roku na licytacyi publicznej przez J. A. Tolla, ojca obecnego właściciela. Skarga hr. Platera, na rząd gubernialny, o sprzedaż dóbr wiszniowieckich doszła do rady państwa. Na mocy Najwyżej zatwierdzonej opinii z d. 11 października 1883 r. roszczeń tych nie uwzględniono i dobra wiszniowieckie pozostały w posiadaniu Tolla. W styczniu 1886 r. hr. Plater wniósł do sądu okręgowego w Łucku skargę o uznanie licytacyi za nieważną. Ostatecznym wyrokiem kijowskiej izby sądowej w 1889 r. pretensye te znowu oddalono. W październiku 1893 r. hr. Plater dowodził iż las na pastwiskach włościańskich, 244 dziesięcin, nie wszedł do opisu, z tego tytułu nie był sprzedany Tollowi i pozostał własnością powoda. Ponieważ las wyrąbał nabywca ma-

jątku, zatem pokrzywdzony prosił o zasądzenie wartości w sumie 300,000 rs. Na wyrok izby kijowskiej, która odrzuciła te pretensye, r. Plater wniósł skargę kasacyjną do senatu, ale i tu ją odrzucono.

Fizyczne kształcenie dzieci. W miarę zbliżania się terminu wystawy hygienicznej, różne jej komitety pracują coraz żarliwiej a między innemi na szczególną uwagę zasługują narady w sprawie hygieny dziatwy. Zrazu projektowano wystawienie okazów żywych, wniosek ten jednak nie miał racyi bytu i prędko upadł. Natomiast wybrano osobną komisyę, która zajmie się zbadaniem środków w zakresie kształcenia fizycznego. Obowiązki te przyjęli: panie H. Kuczalska, N. Tomaszewicz—Dobrska, M. Weryho i M. Keller, lekarze: Sikorski, Dudrewicz, Tchórznicki, Bączkiewicz, Anders, Sommer, J. Kramsztyk, Malinowski, Kamiński, Jaworski i prof. Nowicki. Niezależnie od pracy tego komitetu, lekarze—dentyści mają się zająć hygieną jamy ustnej. Ze Studzieńca i Puszczy będą przedstawione różne warsztaty i meble, zastosowane do wzrostu i wieku dzieci. Dziś już wogóle projekt tego działu wystawy zarysował się dość wyraźnie. Między innemi zajmą ważne miejsce: pedagogia, badania naukowe (pomiary antropometryczne) itd. Hygiena dziatwy to nie tylko dział sam przez się ciekawy, ale i niezmiernie doniosły, jako podstawa rozwoju przyszłych pokoleń. To też warto mieć całkowity obraz warunków w tej mierze. Niech wystawa scharakteryzuje hygienę wszystkich warstw społecznych, niech wykaże, czego się nie robi, a co robić należy, przedttawi nasz dorobek piśmienniczy, niechaj jednocześnie stanie się bodźcem do wytworzenia przystępnej literatury agitacyjnej na owem polu. Nie zapominajmy i o tem, że chcąc podnieść zdrowotność dzieci, trzeba przedewszystkiem nakłonić matki do elementarnej hygieny. Gdyby wystawiono okazy żywe, byłby to zwyczajny popis, głaszczący miłość własną rodzicielek. posiadających. h wyjątkowo zdrowe potomstwo, czysto umyte i ładnie ubranego na pokaz. Właściwiej byłoby podpatrzyć zakulisową, a nawet jawną lecz codzienną hygienę dziatwy. Zdarzyło mi się np. widzieć w tramwaju elegancko ubraną młodą matkę; obok niej siedziała niańka z niemowlęciem, którego twarzyczka i szyja nabrały ciemno-szarej barwy od... brudu, dawno zapewne niezmywanego... Warto, z powodu badania jamy ustnej. wykazać stopniową ruinę fizyczną, utratę zębów w wieku młodzieńczym, choroby dziąseł, szczęk, a w następstwie tego—organów trawienia. Dobrze byłoby przytem zebrać dane statystyczne, wykazujące cyfrę nieletnich, czyszczących lub nieczyszczących zęby. O ile wiem z własnych spostrzeżeń, znaczna część młodzieży szkolnej zupełnie lekceważy ten środek, do czego dzielnie dopomagają wychowawcy bagatelizowaniem tego niedbalstwa. Kwestya nianiek i ich czystości powinna również zająć ważne miejsce na wystawie hygienicznej. *D. Z. M.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

POD STEREM PAŃSTWA.

W ostatnich czasach na rynkach europejskich zaszły nadspodziewane zmiany, które dość silnie wstrząsnęły interesami cukrowników w obrębie państwa rosyjskiego i wywołały środki reglamentacyjne, uchwalone w początkach grudnia. Taki doniosły fakt z dziedziny życia ekonomicznego zasługuje na baczną uwagę, obchodzi bowiem nie tylko fabrykantów, ale także ziemian i wogóle spożywców. Warto więc uważniej przyjrzeć się obecnym warunkom produkcyi. Mamy właśnie ogłoszony w organie ministeryum skarbu najświeższy materyał, który nam dopomoże do szkicowego zarysowania obrazu.

W pierwszej połowie siódmego dziesięciolecia produkcya cukru w obrębie całego państwa nie przekraczała 10 milionów pudów. W drugiej zaś następnego dziesięciolecia już się podwoiła, a w okresie 1890/1—1891/2 doszła niemal do 30 milionów pudów. W r. 1893/4 dała przeszło 35 milionów. Wreszcie w r. 1894/5, z którego nie są jeszcze obliczone rezultaty, w przybliżeniu wyniesie 33 miliony pudów. Taki wszakże wzrost wytwórczości nie szedł w parze ze zwiększeniem spożycia wewnętrznego. Jeszcze przed 10 laty wywóz cukru za granicę był słaby, następnie szybko wzrastał. Jednocześnie ceny mączki w tym okresie na rynkach wewnętrznych spadały, pomimo podniesienia akcyzy (tylko w r. 1892/3 ceny były wyjątkowo wysokie, z braku odpowiedniej ilości towaru). Fakty te świadczą o nadmiernej produkcyi w stosunku do spożycia wewnętrznego. To też zrazu państwo popierało wywóz za pośrednictwem premii czasowych; następnie zobowiązano wytworców do wysyłania za granicę nadmiaru, przekraczającego normę określoną. Z początku fabrykanci nie wykazywali strat z eksportu, przeciwnie—więksi nawet zgarniali zyski; ale gdy w ostatnich czasach ceny na rynku londyńskim znacznie spadły, towar wywożony w rezultacie zaczął przynosić 1 r. 10 k.—1 r. 20 k. za pud. tj. zwracał mniej więcej koszt berkowca buraków. Wobec takiego stanu rzeczy fabrykanci nie chcieli dotrzymywać zobowiązań co do eksportu.

Spadek cen na rynku londyńskim wywołała nadmierna produkcya cukru w innych państwach; ponieważ niema żadnych widoków jej unormowania, obecny więc stan rzeczy może jeszcze trwać bardzo długo. Znaczna nadprodukcya daje się spostrzegać także w obrębie państwa rosyjskiego. R. 1893/4, jakeśmy widzieli. wytworzono przeszło 35 milionów, czyli o 5 mil. więcej niż w kampanii poprzedniej, z r. 1894/5 cyfra jest o dwa miliony mniejszą ale obecna kompania przyniesie niewątpliwie większą cyfrę, gdyż według danych tymczasowych, zbiór buraków jesieni ubiegłej dał 32 miliony berkowców. Tymczasem spożycie wewnętrzne wynosi zaledwie 25—26 mil. pudów. Nadmiar wytwórczości oddziałał widocznie na rynki wewnętrzne. R. 1894/5 przed miesiącami letniemi cena mączki wynosiła przeciętnie około 4 r. 50 k. za pud (wraz z opłatą akcyzy). Ku jesieni ceny spadły (4.20—4.35 za pud). a z otwarciem nowej kompanii, zniżka była jeszcze gwałtowniejsza: w Październiku ceny notowano od 3 r. 90 k. Dzięki postępowi techniki fabrycznej, koszty produkcyi wogóle zniżyły się w ostatnich czasach. Ale biorąc fabryki pojedyńczo, znajdziemy jeszcze wielkie różnice w stopniach tego udoskonalenia, a więc i w oszczędnościach na owej drodze. Zresztą różnice takie nigdy się nie zatrą całkowicie, ze względu na odmienne warunki produkcyi, koszty materyałów surowych, paliwa itd. Skutkiem tego niepodobna ściśle oznaczyć jej kosztów. Właściciele cukrowni w notatce swojej, przysłanej do ministeryum skarbu, obliczają na mocy sprawozdań 36 towarzystw z okresu 1893/4 średnią cenę pudu cukru na 2 r. 24 k., oprócz akcyzy. P. Czefranów na podstawie danych 29 towarzystw z r. 1892/3 określa przeciętną cenę bez akcyzy około 2.50 k. Zresztą ceny cukru i koszty produkcyi w każdej fabryce mogą się zmieniać, odpowiednio do urodzaju i ilości buraków. Bądź co bądź, organ ministeryum skarbu nie uważa przytoczonych cyfr za wysokie na rynkach wewnętrznych. Istotne wszakże obroty i zyski fabrykantów zależą nie tylko od cen w kraju lecz i za granicą. Jeżeli np. weźmiemy produkcyę cukrowni w sumie 33 milionów pudów i przypuścimy, że na rynkach wewnętrznych będzie sprzedanych 27 mil. średnio bez akcyzy po 2 r. 76 k. (z akcyzą 4 r. 50 k.), a za granicą 6 mil. po 1 r. 20 k., to przeciętnie wytwórca otrzyma tylko po 2 r. 47 k. za pud. Dane te wskazują, że wywóz cukru za granicę przynosi stratę, skutkiem czego uczestnicy syndykatu zaczęli cofać zobowiązania względem wywozu. Jednocześnie spadły ceny i na rynku wewnętrznym. Jeżeli zaś wywóz całkowicie ustanie a przemysł będzie pozostawiony naturalnemu biegowi, to się nagromadzi nadmiar w takiej ilości, że musi w końcu wywołać dotkliwe przesilenie.

Oto dla czego ministeryum skarbu postanowiło wniknąć w obecny stan cukrownictwa. Przyszło ono do przekonania, że w wielu miejscowościach kultura rolna i jej losy ściśle są związane z tą poważną gałęzią produkcyi, że przy tem ma doniosłe znaczenie fiskalne, daje bowiem skarbowi 40 milionów dochodu, które oczywiście zmniejszyłyby się znacznie w razie kryzysu. Nadto taki stan rzeczy oddziałałby zgubnie na interesy ogółu spożywców, musiano by bowiem zamknąć wiele fabryk, a wtedy ceny cukru ogromnie podskoczyłyby na rynkach wewnętrznych. Rozpatrzywszy takie położenie i możliwe skutki w przyszłości, ministeryum zwołało osobne narady w maju r. z. pod przewodnictwem b. prezesa komitetu ministrów, p. Bungego i od tej chwili datuje się gotowość rządu do współdziałania w uregulowaniu przemysłu cukrowniczego. Wreszcie opracowane środki zaradcze na drodze prawodawczej doczekały się Najwyższego zatwierdzenia w pierwszych dniach grudnia. Oto ich zasadnicze brzmienie: uznano za nieracyonalne wszelkie czasowe i stałe cła zwrotne lub bezzwrotne, wreszcie wszystkie inne sztuczne sposoby, mające na celu popieranie wywozu nadmiaru. Wytwórcy zagraniczni, np. niemieccy, dzięki mniejszym kosztom produkcyi i krótszej drodze do głównego ogniska zbytu—Anglii, zawsze będą mieli pierwszeństwo przed tutejszym. Dodajmy nawiasowo, że w obrębie państwa w stosunku do przestrzeni znikają różnice i przywileje, z powodu taryf różniczkowych. Skuteczne współzawodnictwo z państwami innemi w rozmiarach premii wywozowych byłoby bardzo wątpliwe. Przy czem środki takie są nie pożądane z tego względu, że należałoby sięgnąć do funduszów skarbowych, a nadto tego rodzaju poparcie przyniosłoby korzyści obcym spożywcom kosztem tutejszych, gdyż ludność w obrębie państwa musiałby płacić drożej. Wreszcie wszelkie sztuczne sposoby nie utrwaliłyby podstaw produkcyi, lecz podtrzymałyby tylko nienormalny jej rozwój. Należy więc szukać innej drogi uregulowania wytrwórczości w stosunku do rynków wewnętrznych.

Tutaj rola sfer ministeryalnych jest doniosła, gdyż one mają dać szale, na których równoważnie będą rozłożone interesy wytworców i spożywców. Przedewszystkiem więc rząd będzie się starał przeciwdziałać nadprodukcyi, bronić rynki przed nadmiernym napływem towaru. Z tąd mają same przez się powstać ceny normalne. Dla dobra zaś pożywców niezbędne są takie środki, które zapobiegłyby brakowi cukru na rynkach wewnętrznych i wysokiemu wyszrubowaniu cen. Brak taki bowiem jest możliwy nawet przy ogólnej nadprodukcyi, o czem świadczą fakty z r. 1892/3: skutkiem niepomyślnego urodzaju buraków i poprzednio zwiększonego wy-

wozu za granicę, ceny w kraju podskoczyły tak dalece, że rząd musiał sprowadzić z zagranicy około 1700 pudów mączki.

Owocem narad ministeryalnych było obmyślenie i sformułowanie następujących środków: 1) Coroczne określanie ilości cukru dla rynków wewnętrznych; 2) opodatkowanie produktu, wytworzonego nad ustanowioną normę, niezależnie od istniejącej już akcyzy; 3) utworzenie w składach fabrycznych „nietykalnego zapasu,“ dla wypuszczenia go na rynki wewnętrzne tylko w razie wzrostu cen ponad skalę ustanowioną.

Przy nakreśleniu takich środków ogólnych, ministeryum nie uważa za właściwe regulowania produkcyi oddzielnych cukrowni; krępowałoby to bowiem swobodę przemysłu, a przy tem sprawiedliwy podział wytwarzania nie dałby się wcale uskutecznić. Ilość cukru dla rynku wewnętrznego, wolna od poboru dodatkowego, ma być określana stosownie do rozmiarów spożycia z okresu najbliższego, z pewną wszakże przewyżką, na wypadek wzrostu zapotrzebowania, ale z doliczeniem do sumy tej reszty, która pozostała z roku poprzedniego. Przy oznaczeniu ilości zapasów nietykalnych, ministeryum skarbu będzie uwzględniać stan w danej chwili rynku wewnętrznego, a przy regulowaniu ceny cukru ma brać pod wagę normalny stan dochodu fabryk, koszt produkcyi i wszelkie inne, połączone z tem wydatki. Skala spożycia wewnętrznego będzie obliczana wcześnie, ażeby odpowiednio do tego można było normować wymiary plantacyi buraków. Ceny cukru trzeba będzie określać później, tj. gdy przynajmniej w przybliżeniu da się przewidzieć urodzaj buraków, gdyż od płonów w znacznej mierze zależy koszt produkcyi. Opodatkowanie ilości ponad potrzebę wewnętrzną nie ma celów fiskalnych, lecz jest środkiem, zmuszającym wytwórców do regulowania swej produkcyi wedle potrzeb rynku. Podatek ten dość wysoki: 1 r. 75 k. od puda, tj. tyle co wynosi obecnie akcyza. Nadmiar będzie określany w stosunku do ilości produkcyi każdej odzielnej fabryki. Cukrownie małe, tj. wytwarzające najwyżej 60,000 pudów rocznie, nie są uważane za wywołujące nadprodukcyę a więc będą wolne od podatku nadzwyczajnego. Co do „zapasów nietykalnych,“ mają one się tworzyć i odpowiednio normować z ilości pozostałych nad potrzebę, a więc i oznaczanie ich w oddzielnych fabrykach uskuteczniane będzie według jednej zasady. W obecnej kampanii cukrowniczej już się tworzy taki zapas. Ta ilość obowiązkowa wolna będzie od akcyzy i podatku osobnego, dopóki w razie potrzeby nie wyjdzie na rynek. Pozostałą wolną część nadmiaru fabrykanci mają prawo zaliczyć do nowej produkcyi.

Niezależnie do tych środków uregulowania produkcyi i handlu wewnątrz państwa, obmyślano odpowiednie środki względem wywozu za granicę z nadzwyczajną ostrożnością i zastrzeżeniami. Jakkolwiek dziś jeszcze niema żadnych oznak poprawienia się cen na rynku londyńskim, mogą wszakże z czasem warunki tamtejsze zmienić się na lepsze dla wytwórców, a więc zechcą oni zwiększyć produkcyę dla eksportu. Otóż ministeryum zwalnia wszystkie partye towaru, idącego za granicę od akcyzy i poboru dodatkowego. Ale tu znowu przy zmianie konjunktur na zachodzie mogą naraz spaść dotkliwe ciosy na cukrownictwo w Rosyi. Aby temu zapobiedz, ministrowi skarbu dano prawo przy porozumieniu z komitetem, uwalniać cukier wywożony od podatku tylko w części, a nawet nie dawać żadnych ulg w razie jeżeli na rynku międzynarodowym wytworzą się ceny, mogące spowodować wzrost nadprodukcyi.

Wszystkie te środki wchodzą w czyn już podczas obecnej kampanii 1895/6, ale sposobem próby trzyletniej, prawdopobnie z tego względu, że mogą zajść nieprzewidziane powikłania lub też przeszkody w praktyce, niemożliwe do obliczeń teoretycznych. Jak widzimy, danie steru państwowego wielkiej nawie produkcyi cukrowniczej, jest faktem niezmiernie doniosłym w kronice życia ekonomicznego.

Drog.

FABRYKA I RZEMIOSŁO.

O wzajemnym stosunku rzemiosła i fabryki zadrukowano bodaj tyle papieru, że możnaby z książek i broszur, napisanych w tym przedmiocie, utworzyć niezgorszą bibliotekę. Jednakże znajomość czynników, pod których wpływem rzemiosło chyli się do upadku, jest bardzo mało upowszechnioną; wskazuje się różne przyczyny, ale najrzadziej te, które najbardziej zawiniły. Wielu zaślepia dobra wola. Widząc nędzę, szerzącą się pomiędzy rzemieślnikami skutkiem rozwoju produkcyi fabrycznej, ta garstka osób nie może spokojnie roztrząsać rzeczy i nawet nie chce, lecz natomiast poszukuje środków zażegnania klęski, nie pytając, czy można ją zażegnać. Ale takich jest niewielu. Większość zaś, zabierająca głos w tej mierze, to zwykli znachorzy, że nie powiem szarlatani, którzy nie zasługują na sympatyę, jak istotni przyjaciele rzemieślników, nie mogący się pogodzić z taktami życia, ponieważ sieje ono dokoła przekleństwo nędzy. Naprzekór klątwom jednym i mydleniu oczów przez drugich, rozwój, który nie dba ani o utyskiwanie ludzi dobrej woli i tem bardziej nie bierze pod uwagę nieuctwa szarlatanów, idzie swoim torem, tj. rozszerza produkcyę fabryczną i pozbawia rzemiosło jego odbiorców.

Do rozpatrzenia tych dążności, w obecnej chwili zwłaszcza, nadają się dwa zawody: krawiectwo i szewctwo, dla których dzisiaj wybiła godzina ciężkiej walki o byt. Jeszcze przed kilku laty powszechnie wymieniano te procedery, jako opoki produkcyi rzemieślniczej, które mogą urągać współzawodnictwu wielkich fabryk. Twierdzono, że takie przedmioty, jak ubranie i obuwie, mogą być dobrze zrobione tylko na zamówienie, że fabryka w żaden sposób nie podoła wszystkim wymaganiom gustu indywidualnego, ani nie wywiąże się ze swojego zadania, tj. nie będzie wytwarzała mocnego a wygodnego towaru, jeno jak najtańszą tandetę. Wskazywano mały rozwój maszyn w tych sferach działalności przemysłowej oraz powszechne uprzedzenie przeciw ich zastosowaniu. Minął jeden dziesiątek lat — nie więcej. Życie na zarzuty odpowiedziało najwymowniejszymi dowodami, bo szeregiem faktów. W zakresie szewctwa powstały okręgi przemysłowe, które mogą współzawodniczyć, co do swoich rozmiarów, z naszemi Sosnowicami, a ktoś położył na mównicy w parlamencie niemieckim parę butów fabrycznych, wyzywając rzemieślników, czy zdołają za tak nizką cenę i w tak dobrym gatunku dostarczać towar spożywcom. Zresztą ten zawód rozpatrzymy drobiazgowiej w przyszłości, obecnie zaś poprzestaniemy tylko na krawiectwie.

Rozwój produkcyi fabrycznej w tem rzemiośle przedstawia się rozmaicie, odpowiednio do kraju, jaki rozpatrywać będziemy. Pod względem techniki przoduje Anglia, która zresztą w chwili obecnej jest jedynem państwem, posiadającem istotne fabryki ubrania. Leeds stanowi główne ognisko tego procederu. Istnieje tam około 20 wielkich fabryk, zajmujących się tylko produkcyą najrozmaitszych ubiorów. Największa z nich daje zatrudnienie w swoich murach 1,350 dziewczętom i 300 mężczyznom. Zakład ten wytwarza tygodniowo dziesięć tysięcy, niekiedy zaś nawet kilkanaście tysięcy sztuk ubrania. Dzięki takiemu ześrodkowaniu pracy ludzkiej, zastosowano bardzo udoskonalone maszyny. Krojąca odrazu kraje około 40 sztuk sukna, ułożonych w grubą warstwę; inna, przeznaczona do dziurek, w pół minuty nietylko przerzyna dziurkę, ale obrębia ją, wykonywa zaś to dokładniej, aniżeli praca ręczna. Produkcya odbywa się na wywóz. Jeszcze większe rozmiary posiada zakład rządowy w Pimlico pod Londynem, trudniący się specyalnie wyrobem mundurów dla armii angielskiej. Jest to zresztą największa fabryka krawiecka na globie ziemskim, swoją wytwórczością i organizacyą przewyższająca wszystkie najdoskonalsze w tej mierze wzory. Wyrabia ona mundury dla straży pogranicznej w Indyach Przedgangesowych i Gwianie, dla policyi w Londynie i w kraju Kafrów, dla załogi morskiej i lądowej, rozproszonej po różnych zakątkach posiadłości korony wielkobrytańskiej. „Zakład w Pimlico — powiada v. Scherzer — dostarcza wymownego świadectwa, że przy sumiennem kierownictwie można wykonywać na rachunek państwa pewne roboty lepiej i odpowiedniej, jednostajniej i prawidłowiej, stateczniej i taniej, aniżeli mogłaby to uczynić produkcya, powierzona inicyatywie prywatnej.“ W ciągu paru dni zakład zdołałby ubrać cały korpus wojska. Były lata, w których wytwarzano po 600 tysięcy mundurów: jedne, najprostsze, kosztowały zaledwie 15 szylingów, inne, wyższych dostojników, dosięgały bajecznie wysokiej ceny. Nawet oficerzy, dbający o wykwintność roboty, ubierają się w Pimlico. Zakład wyrabia 200 rozmaitych fasonów, w każdym zaś uwzględnia jeszcze różnice wzrostu i tuszy. Centralizacya pozwala na rożne oszczędności: przez parę lat za drobne odpadki, nieposiadające cala kwadratowego, otrzymano 85 tysięcy rubli! Pracuje tam 2.000 robotników, przeważnie kobiet, maszyny zastosowano na wielką skalę. Winniśmy jeszcze nadmienić, że produkcya wielka jest obliczona tylko na wywóz. O jego rozmiarach dadzą nam wyobrażenie cyfry, przedstawiające wartość wyrażonego produktu:

1868 wywieziono ubrania za	2,313,000	funt.	sterl.
1878	„	„	3,176,000	„	„
[illegible]			[illegible]		

Zresztą fabryki krawieckie powstały w Anglii nie tak dawno. Przedtem bowiem istniał zwyczaj oddawania roboty rzemieślnikom do domu. Niektóre kantory zatrudniały w ten sposób tysiące pracowników, nieznających się nawzajem i współzawodniczących z sobą. Przedsiębiorca oszczędzał wydatki na lokal, maszyny i ulepszenia. Dopiero wdanie się państwa i zaprowadzenie kontroli ze strony inspektorów fabrycznych nad „świętością“ ogniska domowego takich rozrzuconych najmitów, jeszcze zaś bardziej zorganizowany opór *trades-union*'ów, walczących przeciw pracy w domu i domagających się ześrodkowania sił robotniczych w fabrykach, zaczęły kłaść kres takiemu trybowi produkcyi, oraz wyzyskowi, umożliwionemu przez takie warunki.

Natomiast w Stanach Zjednoczonych praca w domu jest zasadą. Sartorius von Waltershausen pisze: „Kupno gotowego ubrania w Ameryce upowszechniło się bardziej, aniżeli u nas. Wielkie przedsiębiorstwa w New-Yorku, Filadelfii, Bostonie i Chicago posiadają magazyny olbrzymie: w salach ubrania rozdzielono troskliwie według barwy, kroju, wielkości i gatunku — tysiące sztuk jednakowych wiszą przy sobie. Amerykanin przeważnie nabywa odzież w takich składach, które zawsze umożliwiają mu znalezienie czegoś odpowiedniego. Wielkie firmy posiadają nawet w drobnych mieścinach swoje filie, do

których wysyłają towar w miarę zapotrzebowania. Nadto istnieją biura komisowe oraz drobni kupcy zawiązują prawidłowe stosunki z wielkiemi przedsiębiorstwami i od nich sprowadzają towar. Taki sposób produkcyi pochodzi stąd, że istnieją w Ameryce liczne a rozległe koła, posiadające mniej więcej jednaki dochód." Sprzedaż więc odbywa się na wielką skalę, przyczem zamiast drobnych rzemieślników krawców znajdujemy tam drobnych kupców, biorących towar w komis od składów wielkich. Atoli z ześrodkowaniem procederu nie idzie w parze centralizacya samej wytwórczości. W głównym kantorze jedynie krają materyał, który wydają następnie robotnikom do domu. Cały więc postęp techniczny obejmuje tylko ten zakres pracy krawieckiej. Istnieje zaś tam drobiazgowy podział. Spotykamy naprzód całą hierarchię „werkmajstrów" krawiectwa, którzy robią modele, za nimi idą inni, którzy wyznaczają na materyale odpowiednią linię, wreszcie właściwych krojczych, stojących przy maszynie, która tnie tkaninę. Są tam specyaliści jedynie od surdutów, spodni, kamizelek. Słowem, zamiast pojedynczego krojczego, Ameryka zaprowadziła u siebie dla tej czynności bardzo drobiazgowy podział pracy. Pokrajaną materyę robotnik otrzymuje do domu. I tutaj także stworzono daleko posuniętą specyalizacyę, niemożliwą przy czysto rzemieślniczym trybie produkcyi. Każdy przedmiot, a zatem surdut, palto, spodnie i kamizelka, są oddawane innemu robotnikowi, który w ciągu całego swego życia siedzi zawsze tylko nad pewną częścią ubrania. Ale nawet w tym zakresie otrzymuje z magazynu nie każdą robotę, bo istnieje jeszcze podział według fasonu, jakości materyału, wymaganej dobroci lub elegancyi w odrobieniu. Robotnik szyje więc z roku na rok tylko pewnego kroju kamizelki, przyczem tylko tanie lub drogie. Specyalizacya więc doszła do krańcowości, wraz z nią zaś wprawa i wytwórność pracy. W całej pełni zapanował tam rękodzielniczy tryb produkcyi, który czeka tylko odpowiednich warunków na ześrodkowanie w fabryce i zastąpienie rąk ludzkich przez maszynę.

Podobne stosunki istnieją także w Niemczech. W ścisłem słowa znaczeniu fabryk tam nie ma, bo przedsiębiorca woli korzystać z pracy najmitów w domu. Wraz z tem postęp techniczny stoi na niskim szczeblu i ogranicza się tylko do ściśle przeprowadzonego podziału pracy. Bardzo znaczną część towaru wywożą na rynki zagraniczne: idzie on do Szwajcaryi, Skandynawii, Anglii, Włoch, ale przedewszystkiem do Brazylii, Hiszpanii itd., gdzie naturalnie oddziaływa odpowiednio na dobrobyt rzemiosła miejscowego. Jest to gałąź produkcyi względnie niedawnego pochodzenia, datująca się zaledwie od roku 1878/9. O jej rozwoju da nam wyobrażenie umieszczona niżej tablica:

1884	wywieziono	ubrania	z Niemiec za	91,000,000	m.
1886	"	"	"	87,000,000	"
1888	"	"	"	96,206,000	"
1890	"	"	"	112,600,000	"
1891	"	"	"	[illegible]	"

Wielka produkcya krawiecka w Niemczech głównie ma na celu ubranie dla warstw średnich i niższych, które dzisiaj zaspokajają swoje potrzeby niemal wyłącznie w magazynach gotowej odzieży. Warstwy zamożne trzymają się dawnych zwyczajów, tj. czynią zamówienia. Ale nie znaczy to, ażeby udawały się one do drobnego krawca. W każdem większem mieście powstały olbrzymie firmy, które produkują tylko na obstalunek i korzystają z tych samych maszyn i z podobnego podziału pracy, jak magazyny, trudniące się wytwarzaniem dla nieznanego nabywcy. Zresztą dotyczy to tylko ubiorów dla osób dorosłych, bo co do wyrobu ubrania dla dzieci, produkcya z góry, obywająca się bez zamówień, zapanowała wyłącznie. Nawet domy najzamożniejsze w ten sposób zaspokajają swoje potrzeby. W Berlinie, Hamburgu i Szczecinie, powstały bardzo wielkie zakłady, które specyalnie wyrabiają ubranka dla malców i dziewcząt i zaopatrują w ten towar niemal całe Niemcy. Herzberg, który stosunkom krawieckim poświęcił osobną monografię, powiada, że towar z wielkich firm, wyrabiających na wywóz, swoją dobrocią nie ustępuje robocie średnich zakładów obstalunkowych. Jeżeli zaś znajdujemy tam także lichy towar, pochodzi to nie od wielkiego procederu, ale z tego, że nabywcy żądają przedewszystkiem taniości; tam zaś towar nie może posiadać zbyt wielkich zalet.

Tak wygląda krawiectwo w krajach, najbardziej rozwiniętych pod względem ekonomicznym. Wielkie magazyny wytwarzają tanio, bo nabywając hurtowo materyał, korzystają na każdym drobiazgu. Obliczono, że w wielkim składzie, wykonywającym tylko zamówienia, surdut kosztuje przedsiębiorcę zaledwie 23,95 marek tymczasem drobnego majstra aż 32,40 — w obu przypadkach nie liczymy kosztów wysiłku ludzkiego. To też współzawodnictwo z wielkimi magazynami jest wprost niemożliwe dla rzemieślnika. Jak u nas rzeczy stoją, o tem niestety dokładnie nie wiemy, chociaż wątpliwości nie nie ulega, że ogólne prawo rozwoju nie zrobiło dla nas wyjątku. Majstrowie nasi skrupulatnie trzymają w tajemnicy stosunki rzemieślnicze i będąc w gruncie rzeczy wielkimi przedsiębiorcami, rujnujący mi rzesze drobnych współzawodników, udają również rzemieślników, pokrzywdzonych przez rozwój fabryczny. Pomiędzy szewcami warszawskimi są mocarze, zatrudniający po stu i więcej czeladników i majsterków, pracujących w domu. Podobnie dzieje się w krawiectwie. Dla braku odpowiedniego materyału nie możemy szczegółowiej przedstawić stosunków naszych.

Na zakończenie dodamy, że kapitalistyczny rozwój krawiectwa odbywał się nie tyle skutkiem odkrycia maszyn, które nawet dzisiaj znalazły względnie małe zastosowanie, ile pod wpływem postępu dróg komunikacyjnych. Maszynę do szycia wynaleziono oddawna, ale odkrycie to przyszło na świat za wcześnie! Okazało się, że dla powstania wielkiej produkcyi muszą istnieć odpowiednie warunki społeczne — środki komunikacyjne, umożliwiające tani a masowy transport towarów do najodleglejszych okolic i tem samem stwarzające rynek zbytu. Dopiero gdy otworzyły się takie widoki przed krawiectwem, maszyna zaczęła rozpowszechniać się w tym zawodzie. Zależność pomiędzy powstaniem fabryk w krawiectwie a rozwojem środków komunikacyjnych uwydatniła się przewybornie w Niemczech. Kraj ten pokryto siecią kolei w latach 1840—1850; w r. 1850 powstały pierwsze fabryki krawieckie, w lat zaś osiem potem dają się już słyszeć pierwsze utyskiwania na współzawodnictwo „tandeciarzy."

KRONIKA.

— Nie mogąc odpowiedzieć zosobna na wszystkie listy i telegramy, nadesłane mi z powodu 25-lecia mojej pracy pisarskiej, proszę tą drogą o przyjęcie najserdeczniejszych podziękowań. Te dowody życzliwego uznania wzruszają mnie tem bardziej, że uwidoczniają mi różnicę między małą zasługą a wielką nagrodą. Zacnej zaś młodzieży, temu czułemu sercu społeczeństwa, która mnie tak rozrzewniająco pozdrowiła, ślę uścisk dawnego i wiernego jej przyjaciela.

A. Świętochowski.

Wiadomości społeczne. Bank dyskontowy w Warszawie, uwzględniając ciężkie czasy, wypłacił swym pracownikom gratyfikacye w stosunku pensyi dwumiesięcznej.

— Przedstawicielom warszawskich cechów rzemieślniczych pozwolono urządzać dwa razy do roku (w razie potrzeby — częściej) zebrania ogólne starszych i podstarszych, z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby rozstrzygano sprawy, mające na celu wyłącznie rozwój cechów i rzemiosł, oraz żeby program porządku dziennego był przedstawiany Głównemu Naczelnikowi kraju.

Mianowania. R. t. Nekludow zajął stanowisko towarzysza ministra spraw wewnętrznych.

Szkoły. Wobec braku dostatecznej liczby inżenierów komunikacyi, uznano za rzecz niezbędną otwarcie nowego instytutu w Moskwie.

— Opracowany przez prof. Mendelejewa projekt szkół średnich, łączy w swoim programie kurs zakładów klasycznych i realnych.

Dobroczynność. Raut, urządzony w Warszawie na rzecz ubogich matek, dał czystego dochodu przeszło 3,000 rs. Dzięki temu otwarto przytułek położniczy przy ul. Hożej.

— Czysty dochód z przedstawienia na rzecz wdów i sierot po pracownikach handlowych i przemysłowych w Warszawie wynosi przeszło 600 rs.

Wystawy i zjazdy. Okręgowy zjazd lekarzy w Kijowie, ogłoszony na maj, odłożono do r. 1897.

— Zarząd wystawy stałej prób i wzorów w Warszawie przyjmuje dla bezpłatnego umieszczenia wszelkiego rodzaju wynalazki i nowości.

— Na maj r. b. zapowiedziano otwarcie międzynarodowej wystawy rybołówstwa i żeglugi, w Kielu. Termin składania deklaracyj przedłużono do 15-go stycznia.

Wypadki. Dnia 24 grudnia między Kaliszem a Łodzią stoczył się do rzeki omnibus żydowski. Utonęło sześciu ludzi.

Walki z rozbójnikami. Pod tym tytułem *Kuryer warsz.* podaje następujące szczegóły: Dzielnica podmiejska za rogatkami wolskiemi oddawna służy za siedlisko dla rabusiów, którzy szczególnie w ostatnich czasach dają się mieszkańcom we znaki. W tych dniach na Woli banda łotrów napadła na 55 letniego Stanisława Kamera, któremu odebrała pieniądze i legitymacye. Następnie dla zatarcia śladów, zbrodniarze zamordowali ofiarę w taki sposób, aby mniemano, iż R. sam sobie odebrał życie. Postrachem dla rabusiów jest starszy strażnik Pszyk, zamieszkały na Czystem, znany z energii i śmiałości. Zbóje w ciągu dwóch nocy napadali na jego mieszkanie, strzelali z rewolwerów, na szczęście bez złych następstw. Pewnej nocy strażnicy oddziału praskiego, Jass i Stasiuk, obchodząc rewir w towarzystwie ośmiu włościan, na szosie brzeskiej usłyszeli rozpaczliwe wołanie o pomoc. Przybiegłszy na miejsce, natrafili na chwilę, gdy kilku zbójów znęcało się nad trojgiem izraelitów, dążących wozem ja downym z Warszawy. Ofiary napaści, małżonkowie Rotszejnowie, oraz woźnica, od uderzeń kijami mają liczne rany. Pomiędzy innymi rabusiami poznano dwu rzezimieszków pobytowych. W dniu wigilijnym starszy strażnik Jakowczuk, obchodząc swój rewir, w pieeu na Czystem przy cegielni Nuty Halbera znalazł siedzących dwu podejrzanych drabów. Opryszkowie rzucili się na J., ogłuszyli go uderzeniem w głowę, a następnie zadali nożem śmiertelną ranę w okolicę serca, poczem zbiegli.

Zmarli. Henryk Natanson, szef domu bankierskiego w Warszawie. Brał czynny udział w założeniu i zarządzie wielu instytucyj finansowych tudzież przemysłowych. Przed laty miał w Warszawie księgarnię nakładową. Wydał między innemi dzieła Weisbacha, Humboldta itd., jego nakładem po raz pierwszy zaczęły wychodzić powieści Kraszewskiego z ilustracyami. Wreszcie był pierwszym wydawcą *Przyjaciela dzieci.*

— Walery Kopernicki, w Warszawie, b. profesor szkół rządowych, archeolog i antykwaryusz, autor mapy hydrograficznej słowiańszczyzny zachodniej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Декабря 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.